Numer 42 | Nal. poczt. opł. ryczałtem. | Dnia 20 Października 1929



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Niemożliwe.

Przez małe miasteczko przejeżdża pędem auto i w pewnej chwili najeżdża na jakiegoś miejscowego obywatela. Kierowca zatrzymuje auto i usiłuje wydobyć nieszczęsną ofiarę z pod samochodu. Jak to w miasteczku momentalnie zebrał się wielki tłum gapiów.

— No, czegóż stoicie i przyglądacie się? Niech auto pędzi po lekarza! — woła zniecierpliwiony automobilista — czy jest tu lekarz?

— Jest.

— No, więc sprowadźcie go natychmiast.

— To jest niemożliwe!

— Dlaczego?

— Bo on właśnie leży pod tym samochodem.

Dlaczego piszczy.

Sześcioletni Józef gapi się na przebiegający pociąg nowozbudowanej kolei, a słysząc przeciągły gwizd lokomotywy pyta matki:

— Mamusiu, a dlaczego ta maszyna tak piszczy?

— Oj ty głuptasie, jakby tobie kazali ciągnąć tyle wozów, tobyś jeszcze nie tak piszczał!

Na poczcie.

— Słuchajcie, matko, ten list jest za ciężki, musicie jeszcze jedną markę przylepić taką samą.

— A to, proszę pana, wtedy będzie jeszcze cięższy.

Nie miał czasu.

— Józek! jak ty wyglądasz łajdusie jeden?... cały ubabrany?...

— A, bom wpadł do dołka z gnojówką i ubabrałem się!

— A, ty, hyclu jeden, toś nowe portki tak zasmarował!?

— Ale, bo jakem wpadł, to tak prędko, żem nie miał czasu ich zdjąć.

Kogo się boi.

Ksiądz katecheta tłumaczy dzieciom w szkole obszernie, co to jest bojaźń Boża. Przekonany, że już wszyscy zrozumieli, zapytuje Staszka Srokę:

— No, chłopcze! Powiedz mi, co to jest bojaźń Boża?

Staszek wstał, spuścił głowę i milczy.

— No powiedz-że — naprowadza go katecheta — kogo się boisz?

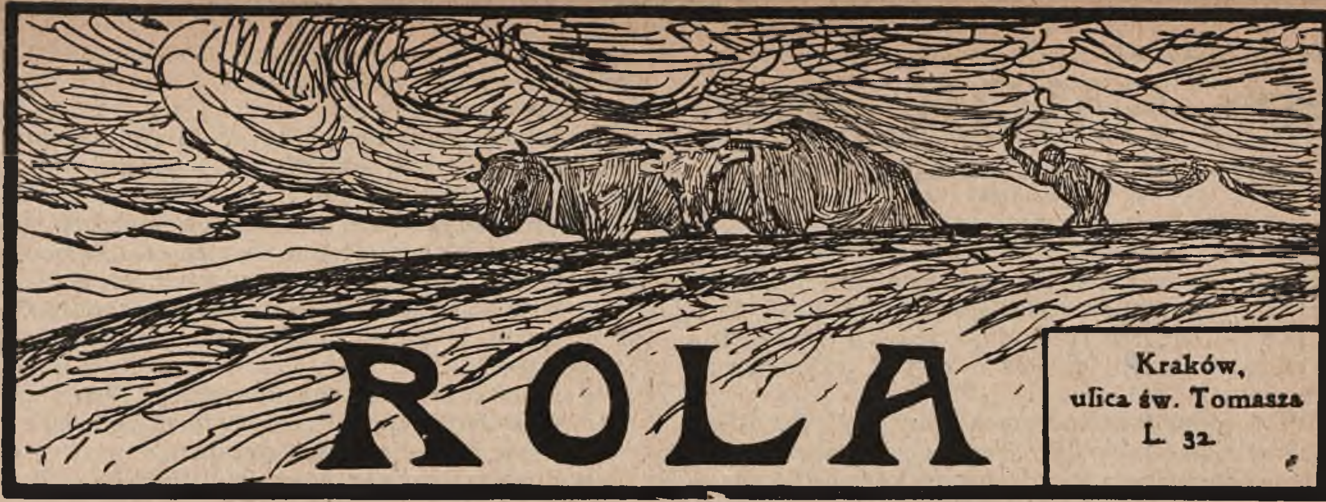
— „Ziandara“ i byka!

Racja.

— Wojtek! — zwraca się gospodyni do męża — a wiesz ty, że za dwa tygodnie będzie 25 lat, jak my się pobrali? Trzebaby coś pomyśleć przecie, może świnię zabić?

— A cóż biedna świnia temu winna, żem ja wtedy głupstwo zrobił?

Numer 42. Rok XII. Kraków, dnia 20 Października 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie: do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Jeden dzień...

Przysłowie szwedzkie mówi, że »dzień to jest próżne naczynie, w którym wiele rozmaitych rzeczy może się pomieścić«. Dzień każdy poniekąd naszą własnością — częścią naszego życia. Jeden dzień może być wiecznością, albo chwilą, a przecież jeden drugiemu równy, każdy ma swoich dwadzieścia i cztery godzin, ani jednej minuty mniej lub więcej.

Lecz długość jego lub krótkość mierzymy podług tego, co nam przynosi, czy smutek, czy radość. Ile nadzwyczajnych wypadków, ile niespodzianek, może też ile szczęścia lub troski może przynieść dzień jeden.

Jak długo i wolno wloką się chwile czekającemu na coś z upragnieniem, lub choremu, jeżeli lekarz nie przychodzi! Jak długim jest dzień, gdy czekamy na list mający rozstrzygnąć naszą przyszłość! Każda chwila wydaje nam się wiecznością, i dzień taki wcale nie chce minąć. Jak długim jest dzień, gdy wieczorem mamy ujrzeć osobę ukochaną, — jak krótkim zaś, gdy mamy się z nią rozstać na czas nieograniczony.

Jak prędko mijają godziny w szczęściu i swobodzie!?

W przeciągu jednego dnia może się zmienić całe nasze życie. Możemy doznać najwyższego szczęścia, lub najwyższej boleści, — wszak w kilku godzinach bywał zrujnowany cały dobrobyt wielkiej rodziny. W przeciągu dnia jednego upadały wielkie potęgi świata i w przeciągu dnia jednego nowe powstawały, aby się wznieść na szczyt wielkości i przetrwać na nim przez lat wiele. Jeden dzień rozstrzygał o losach narodów, doprowadzając je do wielkiej chwały i jeden dzień skazywał je niejednokrotnie na długie lata cierpienia.

W godzinie tracą ludzie tysiące na karty i zakłady, i nieraz kładą się spać żebrakami ci, którzy dopiero rano krociami rozporządzali. W jednej godzinie znika wszystko, — złoto, przyjaciele, a nawet i — honor!

Jak gorąco pragnąłby niejeden, aby się dzień wrócił, nauczony smutnem doświadczeniem pewnieby go inaczej zużył. Ale co w jednej godzinie się stało, tego cała wieczność nie odmieni i nie wróci!

I znów dzień nadszedł... taki jak każdy inny, z tymi samymi obowiązkami, i pracami, z cierniem i kwiatami, z wymaganiem życia powszedniego, — dzień zwyczajny, w całem tego słowa znaczeniu. I takie dni nie są najgorsze!

Z dobrą wolą, i swobodnym umysłem zabierajmy się do pracy i cieszmy się jej postępami, już samo przeświadczenie, że wyzyskaliśmy każdą chwilę, daje nam zadowolenie wewnętrzne.

Dzień natomiast spędzony bez pracy pozostawia niesmak po sobie, i wywołuje najgorszego wroga ludzkości, t. j. próżniactwo.

Więc, gdy znowu jutro się dzień zacznie, zabierajmy się do pracy z wielką ochotą, a godziny miną szybko, i pozostawią wspomnienie spełnionego obowiązku!!

Wczorajszy dzień nie wróci już nigdy i to, cośmy w nim złego uczynili, nieraz i do końca życia odrobić się nie da. Niechże więc przynajmniej ten dzień jutrzejszy, który jeszcze jest przed nami, będzie takim, jakim być powinien, na jaki czeka Pan nasz najwyższy, Bóg, i jakiego oczekuje od nas społeczeństwo. Nim on jednak nadejdzie, przygotujmy się na spędzenie go tak, abyśmy kiedy minie, nie żałowali tego. Przygotujmy się tak, abyśmy wieczorem dnia jutrzejszego mogli powiedzieć, żeśmy dobrze jeszcze jeden dzień spędzili.

Stanisław Antoni Jucha.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

VII.

Smok o głowie żaby, z brzuchem tura i ogonem jaszczurki, a łaknący wciąż krwi niewinnych dziewic, siedział w pieczarce Bojana Jaksy i tylko liczną swą czeladź, zaszytą w skóry, wysyłał po upatrzone ofiary.

Wieść potwierdzona przez starą Wiedźmę-kapłankę z pobliskiego sioła i rannego Skubę, obiegła osiedla i olbrzymiała do okropnych rozmiarów, potęgowana przez zabobonne bezkrytyczne społeczeństwo, zamieszkałe w okolicy groty, którą obrał sobie za tymczasowe mieszkanie najeźdca.

Lament i bezgraniczna rozpacz ogarnęła zabobonnych mieszkańców.

Nie widząc znikąd rady, ani pomocy, porzucali domostwa i z dobytkiem uciekali w lasy, zapominając o niebezpieczeństwie dzikiego zwierza, byle tylko znaleść się dalej od pieczary smoka.

Czasem przypadkiem zeszli się w lesie u ogniska, wtedy liczyli się nawzajem, opowiadali sobie straty i biadali nad swą dolą.

Jednemu nocą zginęła owca, innemu baran lub koza, tamtemu wół, lub wreszcie dziecko zaginęło w lesie.

Mężczyźni bezradni chodzili, jak upiory, stroniąc od ludzi, kobiety zawodziły żale i w rozpaczy targały włosy, a dziewice, na które najbardziej czyhał smok, siedziały skulone po kryjówkach, bojąc się na świat wystawić nosa.

Opustoszały chaty, ścieżki świeciły pustkami, dobytek zmniejszał się z dniem każdym, bo nie zaopatrzony należycie stawał się pastwą dzikiego zwierza. Pola ze zbożem i konopiami stały dojrzałe, ale nikt nie zbierał plonów, ponieważ ludność bała się wychylić z lasów.

Tylko stara Wiedźma siedziała w swojej lepiance i jak dawniej chodziła codziennie do lasu po zioła i owoce. Napotkanym ziomkom opowiadała coraz to straszniejsze czyny smoka, że im włosy dębem stawały ze zgrozy na głowie.

— A czemu was nie pożre? — pytali śmielsi.

— Mięso moje stare i twarde, jak lipowe łyko. Ma on dość młodej krwi, a moja na zdrowieby mu nie wyszła! — odpowiadała.

Skuba nocą, nie bez bojaźni z wszelkiemi ostrożnościami przybiegał czasem do niej na chwilę, aby mu przewiązała rękę i świeżych gojących ziół przyłożyła na ranę.

Wtedy zdrową ręką groził w stronę Wawelu i klął się, że pomści Salwidę.

— Byle wyzdrowiała ręka! — powtarzał.

— Nie dasz rady, bo czeladzi przy nim moc! — odpowiadała jakoś dziwnie stara.

— Niech tam! Dam ja mu radę kiedyś i muszę uwolnić ziomków od zmory!...

Dnie uciążliwe, długie ciągnęły się w nieskończoność, przynosząc coraz to nowe zgryzoty i coraz większy strach.

Zbrojni ludzie Seminga coraz częściej przebiegali po okolicy, przestrząsając zarośla. Coraz to więcej przybywało ludzi, co z wysiłkiem uniknęli ujęcia i coraz niebezpieczniej było wychylać się z boru.

Pewnego wieczora zgrzypnęły drzwi starej wróżki i przed Wiedźmą stanął Skuba, i jak zwykle wyciągnął do opatrunku rękę.

Ze zwykłą sobie flegmą odwinęła szmatę, obmyła wodą ranę i długo oglądała na wszystkie strony bliznę.

Popluła trzykrotnie na boki, by odpędzić uroki, a wykrzywiwszy szkaradnie twarz, co miało oznaczać uśmiech, zaskrzeczała gardłowym głosem:

— Ostatni to już będzie dzisiaj opatrunek! Ręka już zdrowa i choćby — tu splunęła — na smoka możesz jej użyć!...

— A jak myślicie, utrzymam łuk w dłoni?!...

— Pobróbuj! Trzy palce zostały ci przecie!...

— A czy jego chwyci się strzała?...

— Kogo? — pytała, blednąc, Wiedźma.

— Smoka!

Splunęła trzykrotnie, jakieś ziele rzuciła za siebie, aby odpędzić zło, i ze strachem oglądnąwszy się na wszystkie strony, jakby się bała, czy ich kto nie podsłuchuje, szepnęła:

— Nie wiem!...

— Bo widzicie, matko, trzy razy mierzyłem do niego i nie trafiłem, a za trzecim razem... wiecie!... I urwał.

Umilkli.

Ogień trzaskał wesoło na środku klepiska i rzucał czerwone, jakby krwią zaprawione, światło na ściany izdebki.

Cienie ich wydłużały się w potworne karykatury, migały po ścianach i klepisku i występowały raz wyraźniej, to znowu zlewały się ze zmrokiem.

Świerszcz, ukryty pod progiem, świerknął nieśmiało, jakby wstydliwie, odpowiedział mu inny, gdzieś na przeciw w kącie izby, potem świerknął pod ścianą, pod pieńkiem u ogniska, bodnią w szczelinie ściany i we wiązce zawieszonych ziół. Czasem zagrały razem, to znowu urwały, jakby się zlękły swego głosu, wreszcie zaświerkały równo, różne tony, przedziwną muzyką.

Izba grała monotonnem ćwierkaniem świerszczy, Wiedźma z rękami złożonemi na piersi stała na środku izby i zasłuchana w muzykę patrzała w ognisko, a Skuba z głową opartą na dłoni dumał.

Spory już kawałek ubiegło nocy, kiedy Skuba porwał się nagle na nogi, przeciągnął kości, i zmierzając do wyjścia, rzekł z uporem w głosie:

— Przekonam się!...

— O czem? — spytała Wiedźma, nie rozumiejąc Skuby.

— Jaki środek byłby najlepszy na niego! — i wyszedł.

Noc czarna, parna, zaległa nad nieszczęsną osadą. Skuba, znając jej zakamarki, szedł po omacku i za chwilę minął opuszczone zabudowania i wszedł w gęsty dębowy bór.

Ze siekierką w ręku szedł, nadsłuchując co chwila, czy nie grozi mu co w pobliżu. Najmniejszy szmer pobudzał w nim czujność, że przystawał i rozglądał się z trwogą, czy zaś upiór nie ułapi go z tyłu.

W ciemności potykał się na wystających korzeniach drzew, omijał fosforyzujące bladem zielonawem światłem gnijące szczątki drzewa, pilnie zważając, czy zaś dziki zwierz nie stanie mu na drodze.

Miejscami, gdzie gęste podszycie boru tamowało mu przejście, pełzał na czworakach, czasem brnął po kolana w bagnie lub moczarach, to znowu szłapał w potokach drobnych, szeroko rozlanych, zarosłych trzciną i kaczeńcem a kierując się przeważnie instyn-

ktem, szedł do miejsca, gdzie w dzikim borze ukryła się z dobytkiem jego rodzina.

Naraz przystanął, nosem pociągnął silniej powietrze i jak zwierz dziki łowił dolatujące go zapachy.

Najwyraźniej poczuł woń pieczystego mięsa.

Skręcił w tę stronę, skąd dochodził swąd i za chwilę pomiędzy pniem drzew dostrzegł błysk ognia. Niebawem znalazł się w gronie rodziny.

Na zadawane mu pytania, gdzie chodził po nocy, odpowiadał półsłówkami i tylko dobrał się do sprzętu zbrojnego i gmerał w nim.

Wybrał najpierw oszczep, popróbował wytrzymałości jego drzewca, potem palcem obmacał ostrość grotu. Następnie wziął łuk o silnej ze skręconego jelita baraniego cięciwie, sajdak z kuny napełnił strzałami troskliwie dobranemi z całego pęku, których zapas niemały zawsze bywał pod ręką, w końcu siekierkę zatknął za pasem.

Kapelusz słomiany odłożył, a na głowę naciągnął czapkę skórzaną, spiczastą, twardą, ze skóry wołu, krótki kożuszek zarzucił na ramiona i usiadł na ziemi, opinając na nogi nowe łapcie z lipowego łyka.

Stary Miłosz-Bogorja siedział na głazie u ogniska i w milczeniu przyglądał się synowi. Dopiero kiedy ten zarzucił sajdak przez ramię i ujął łuk i oszczep, zapytał:

— Gdzież to wybierasz się po nocy?

— Na smoka! — odrzekł Skuba i poszedł pomiędzy drzewa, za któremi po chwili zniknął w ciemności.

Stary Miłosz popluł, by odpędzić uroki i zawołał za nim:

— Bogowie niech ci pomogą!...

Skuba szedł.

Na korzeniach drzew potykał się w ciemności, czasem uderzał głową o pień drzewa, że wszystkie gwiazdy widział przed sobą, czasem znowu przystawał, bo zdało mu się, że dwa ślepia dzikiego zwierza stanęły mu na drodze i dopiero kiedy z wielkiemi ostrożnościami przekonywał się o omyłce, szedł dalej przed siebie.

Stopniowo podszycie boru stawało się coraz gęściejsze tak, że coraz trudniej przedzierał się przez pnącza i krzewy, co świadczyło, że puszcza się kończyła i wnet wydobędzie się na wolne pole.

Istotnie za chwilę wszedł na wygodniejszą ścieżkę, wydeptaną przez dzikiego zwierza i nagle wyszedł na płaski, wysypany piaskiem i żwirem, pokryty kupkami wikliny brzeg Wisły.

Przystanął nad wodą.

Silny prąd, oświetlony mdłem światłem zachodzącego nowego księżyca, migał srebrem w załomach fali a majestat ogromu wzbudzał w jego duszy nieokreślony lęk.

Tu i ówdzie odzywały się gęgania dzikich gęsi, kwakanie kaczek, plusk ryby albo mruk wydry nad ucztą. Wszystkie zaś te głosy były niczem wobec poważnego, przejmującego do szpiku kości swą wspaniałością szumu, przewalających się pomiędzy zwalone w koryto rzeki drzew, fal wodnych.

Skuba łowił uchem głosy i mimo woli uczuł jakiś lęk.

Lecz trwało to tylko chwilę, ponieważ wzrokiem zmierzył odległość drugiego brzegu.

— Bogowie pomóżcie! — szepnął.

Łuk zawiesił przez plecy, poprawił siekierkę za pasem i macając drzewcem nurt, wszedł w wodę.

Zrazu miał wody po kostki, czasem po kolana. Przez poobalane drzewa przelaził wierzchem, lub schylony przedzierał się pomiędzy konarami sterczącymi z wody.

Każde pluśnięcie ryby, większy szum fali lub krzyk nocnego ptaka wywoływało u niego strach, że włosy stawały mu na głowie, a serce jakby chwilami przestawało bić.

— Topielice — myślał i kurczył się, głowę wtulał w ramiona, starając się jak najmniej zająć sobą miejsca.

Wody przybywało mu pod nogami, że brnął już po pachy.

Nagle wywroty drzew skończyły się i przed nim ukazała się gładka, groźna toń wartko tocząca swe fale. Główny prąd rzeki był przed nim. Wdrapał się na pień drzewa, ostatni, jaki go oddzielał od toni i skoczył w wodę.

Zrazu schował się pod wodę, lecz za chwilę pokazał się na powierzchni i pracując nogami i jedną ręką, niesiony strumieniem za biegiem wody, popłynął do drugiego brzegu.

Naraz zakręciła nim fala i ogromną siłą rzuciła w drugą, że z głową schował się pod wodę.

Przymknął oczy i zaparł oddech w piersi, pracując z wysiłkiem pod wodą, by dostać się na powierzchnię.

Tchu coraz bardziej brakowało mu w piersi, woda cisła się w gardziel. Mało a ulegnie.

Na chwilę wystawił głowę nad wodę, pełnemi ustami wciągnął powietrze w piersi i znowu przywalony falą schował się w nurtach. Lecz tym razem nie na długo, bo rzucony w bok wypłynął zaraz.

Odetchnął ciężko i wiosłując rękami i nogami, chociaż bieg wody znosił go w dół rzeki, jednak pomału, ale stale zbliżał się do brzegu.

Rzeka skręcała dużym łukiem na południowy wschód. Przed nim ukazała się szeroka, spokojnie stojąca toń, a na niej dużo czarnych punkcików. To stado dzikich kaczek nocowało na wodzie.

Księżyc schował się za bór i ciemność jeszcze większa zaległa nad rzeką.

Skuba spróbował głębi i namacał dno. Przystanął. Woda dochodziła mu szyji. Dyszał ciężko i rozglądał się w koło. Dłużej zatrzymał wzrok na stadku kaczek. Żyłka myśliwska odezwała się w nim, że postanowił zapolować na ptaki, jak to już nieraz czynił, chodząc na łowy ze starym Bojanem Jaksą. Wciągnął powietrze do płuc, opatrzył kierunek najbliższego ptaka i schował się pod wodą.

Za chwilę wystawił koniec czupryny i nos nad wodę. Tuż przy nim ukazał się duży kaczor, który, jakby przeczuwał niebezpieczeństwo, wyjął głowę z pod skrzydła i rozglądał się w koło.

Skuba ostrożnie wyciągnął przed siebie rękę i nagle ułapił pod wodą kaczora za nogę i nim ten mógł jakikolwiek wydać głos ze siebie, wciągnął go w topiel, poszukał jego szyji i zatknął ją pod swój pas skórzany.

Rozokołysana fala nagłem zniknięciem ptaka pod wodą pobudziła do czujności resztę, że zaczęły się rozglądać niespokojnie wokoło i pływać w różnych kierunkach.

Skuba wyczekał chwilę, a kiedy uspokojone znowu poukładały pod skrzydła dzióby, znowu ponowił próbę i tym razem znowu głowę kaczki zatknął pod pas.

Przy trzecim razie zrobił to jakoś niezgrabnie, bo chociaż ptak został w jego dłoni, jednak niezręcznie złapany zatrzepotał skrzydłami i wydał ze sie-

bie krzyk, że całe stado zerwało się w popłochu i znikło w ciemnościach nocy.

Skuba stanął i trzecią kaczkę zatknął za pas. Woda dochodziła mu ramion, brzeg był tuż przed nim.

W grząskim namulisku brnął wysiłkiem, przełaził przez leżące w wodzie pnie drzew i za chwilę dostał się na brzeg i wszedł do lasu.

Gęste zarośla rozgarniał rękami, chwilami pełzał na czworakach pomiędzy ostremi krzewami, aż dostał się w głuchą puszczę, wolną od poszycia leśnego, lecz zato zarosłą olbrzymieni drzewami, a tak gęstą, że prawie pniem dotykały pnia, pomiędzy które z trudnością tylko mógł się przeciskać.

Ociekający wodę, zmarznięty, opatrzył wolniejsze miejsce, kaczki złożył pod drzewem a sam ściągnął mokry kożuch, sajdak i łuk złożył na ziemi i zmachany, mokry, legł i dyszał ciężko, wypoczywając.

Po chwili, kiedy zmęczenie minęło, uczuł dreszcze chodzące mu po kościach. Mokrość odzienia ziębiła mu plecy, że porwał się na nogi i szepnął:

— Aj kieby tak ognia!...

Ukląkł, rękami nazgarnywał kupę liści i suchych opadłych z drzew gałęzi, w których po ciemku macał.

Wybrał gałąź grubości wielkiego palca, na kolanie odłamał kawałek na długość ręki, nożykiem zaciął na ostro jego końce i po omacku szukał znowu wokoło siebie.

Znalazł gałąź grubości ręki. Obmacał ją, boczne gałęzie obłamał a z całości zrobił palik wysokości rosłego człowieka. Następnie poszukał cienkiego pnia drzewa, odmierzył wpierw przygotowanym krótkim kawałkiem odległość i zatknął palik w ziemię. Nożykiem zrobił w pniu i w paliku naprzeciw siebie zagłębienie i okręciwszy cięciwą łuku raz dookoła zaostrzony kawałek drzewa, wetknął jego końce w zagłębienia, a górą ściągnął palik do drzewa pasem. Następnie nagotował suchych liści i drobnych gałązek, potem chwycił za łuk i ciągnął jak smyczkiem.

Zaimprowizowane wrzeciono obracało się szybko tam i z powrotem w wyżłobieniu suchego drzewa, wywołując gorąco.

Za chwilę czuć było lekki swąd, potem pokazała się iskra i padła na ziemię, za nią druga i trzecia, aż ukazał się dym, wreszcie buchnął mały strumyczek płomienia.

Schylił się prędko do ziemi, podniósł parę suchych liści, przytknął do płomienia i ogień buchnął światłem i ciepłem wokoło.

Ostrożnie złożył zarzewie na ziemi, podsycił najpierw drobnemi gałązkami, a kiedy się tych czepił, łamał grube konary i kładł na ognisko.

Skostniały od zimna usiadł i suszył zmoczoną odzież.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zamek w Podhorcach.

Na grzbiecie Woroniaków, na wzgórzu 400 m. nad poziom morza, usadowiła się wieś Podhorce, z której rozlega się obszerny widok na równinę podolską, ciągnącą się hen ku północy nad Styrem. Z osobliwości wioski zasługuje na wzmiankę duża karczma, w stylu staropolskim zbudowana, grecko-katolicki kościół Bazyljanów w stronie południowej, przebudowany w w. XVIII, prawdziwem zaś architektonicznem dziełem jest przepiękny kościół parafjalny z 18 stulecia, w stylu późno-renesansowym, zbudowany według planów hetmana Wacława Rzewuskiego. Wnętrze kościoła zdobią piękne malowidła i bogate ozdoby. Imponujący widok przedstawia w dobrym stanie do dziś utrzymany zamek. Jest to olbrzymi, dwupiętrowy, prostokątny gmach, z dwoma bocznymi pawilonami, otoczony dokoła rowami i silnym murem, z kamienia ciosowego. W czworobocznem, obszernem podwórzu znajduje się bardzo głęboka interesująca studnia.

Zamek ten zbudował w stylu holendersko-renesansowym w w. XVIII hetman wielki koronny Stanisław Koniecpolski, później rozszerzył go i upiększył hetman Wacław Rzewuski. Otoczony wspaniałym parkiem, który dawniej był znacznie większy, zdobny w wodotryski, dźwiga na sobie ponad 300 lat liczące lipy. W czasach dawniejszych posiadał zamek również i własną winnicę.

Wnętrze zamku mieści w sobie wspaniałe sale, zbrojownie, pokoje, gabinety, które noszą specjalną nazwę. Wielka zbrojownia z piękną podłogą i nieocenionemi wprost pamiątkami, ma 40 kompletnych zbroic, skrzydlatych, polskich husarzy, sztandary hetmana Rzewuskiego, oraz zbiór cennych pamiątek z 1683 r. z odsieczy Wiednia. Na północnej ścianie znajduje się kopja obrazu Dolabelli, przedstawiająca hetmana Stanisława Żółkiewskiego, oddającego królowi Zygmuntowi III na sejmie w r. 1611, wziętych do niewoli carów Szujskich.

Przedpokój sali rycerskiej zapełniony portretami i obrazami treści religijnej.

Sala karmazynowa, dawny polski salon, zachowała doskonale swój staroświecki wygląd. Podłoga w niej parkietowa, ułożona w 3 kolorach z płyt marmurowych, ściany pokryte adamaszkiem, zawieszone obrazami. W niej znajduje się olbrzymi, niebieskobiały piec kaflowy, sporządzony specjalnie w Gdańsku, dla zamku w Podhorcach. Meble były własnością rodziny Sobieskich.

Pokój chiński o 3 oknach, z podłogą w kształcie szachownicy, z białego, czarnego i czerwonego marmuru. Urządzenie dla niego sprowadził król Sobieski specjalnie z Chin i Japonji. Cennym jego zabytkiem jest biórko z drzewa cedrowego.

Sala złota, pięknie i bogato urządzona z barwną, mozajkową podłogą.

Ściany sali zwierciadlanej, pokryte zupełnie materjami tureckiemi i obwieszone lustrami weneckiemi. Na ścianach liczne obrazy szkoły włoskiej i flandryjskiej. Na 2 starożytnych stołach foljały z wojennemi scenami króla Augusta II z r. 1730. Gabinet mozajkowy, zawiera rozkładane, polowe łoże króla Sobieskiego, oraz oryginalne jego biórko, które dzięki mechanizmowi zmienia się w stół jadalny, stolik do gry i zwykły mały stół. Z gabinetu jest wyjście na narożny balkon, gdzie rośnie orzech włoski, który własnoręcznie Sobieski posadził.

W przedpokoju sali żółtej liczne obrazy, oraz saskie i wiedeńskie szkło. Tu znajduje się pamiętny, 4-litrowy puchar, który wypróżnił jednym haustem pewien mnich, za zdrowie króla Stanisława Augusta. Salę żółtą zdobią liczne malowidła oraz wspaniały świecznik i duży piec.

Salę zieloną zdobią liczne obrazy Szymona Czechowicza, jak również piętrową kaplicę zamkową, gdzie wśród wielu innych pamiątek znajduje się stół

z czarnego marmuru, na którym chrzczono według podania króla Sobieskiego, a który miał pęknąć na dwie połowy w czasie uroczystości. Z balkonu zamkowego wspaniały widok na północne położenie Podhorzec, oraz na szerokie ciągnące się pola i lasy wołyńskiej równiny.

Piotr Wenc.

POWRÓT Z WINOBRANIA.



Tak, jak u nas każdy rolnik, czy to większy, czy mniejszy uprawia ziemniaki, żyto, pszenicę, jęczmień i inne rośliny, taksamo w krajach cieplejszych od naszego wszyscy uprawiają winną latorośl, która rodzi soczyste owoce, wysyłane potem w świat w stanie naturalnym, jako winogrona, lub też przetwarzane na płyn, który my pod nazwą wina przy rozmaitych uroczystościach spijamy. Do uprawy winogron potrzeba klimatu łagodniejszego od naszego. Udają się one więc w krajach, gdzie wiosna zaczyna się wcześniej, a chłody później przychodzą. Są to więc kraje położone od nas na południe i w nich hodowla winogron jest szeroko rozgałęziona. Do takich krajów należą najbliżej nas położone Węgry, dalej Austrja, Włochy, Francja, Hiszpanja i kraje bałkańskie, jak Jugosławja i Grecja.

Prawie wszędzie, gdzie się zajmują uprawą winnej latorośli, winobranie, a szczególniej jego początek, jest pewną uroczystością, z właściwemi sobie pochodami, tańcami, zabawą połączoną. Jedynie może w Dalmacji, kraju położonem nad Adrjatykiem a należącym dawniej do Austrji, dziś do Jugosławji, winobranie przechodzi tak zwyczajnie, jak u nas zbiór żyta lub ziemniaków. Zato wyciskanie jagód odbywa się tam w sposób oryginalny, jednocześnie ze zbiorem.

Dalmaccy winobrańcy zebranych jagód nie odwożą w jakieś szczególne, przeznaczone do tego miejsce, ale natomiast na grunt winnicy sprowadzają wszystko, co służyć może do wyciskania jagód. Używają zaś do tego ogromnej kadzi, na której kładą deskę z otworem w środku, na tej zaś stawiają ceber wysoki, od dołu węższy, z dnem kratkowanem, które właśnie przypada na sam otwór wyrżnięty w desce. W ten ceber wkłada się grona winne i wygniata jagody zapomocą najzwyklejszego deptania obnażonych nóg dalmackich. Sok wyciśnięty spływa przez kratkę cebra i otwór deski do kadzi, a z tej czerpany bywa w worki, niemniej oryginalne, jak cała ta robota.

Ważnym sprzętem w gospodarstwie Dalmaty jest worek skórzany. W nim przechowywa się każdy płyn: ocet, olej, woda, wino. Worek taki, wyrobiony ze skóry owczej, ma kształt zwierzęcia, pozbawionego głowy, nóg i ogona. Stosownie do długości czasu używania i rodzaju płynu przechowywanego w takim worku przybiera on najrozmaitsze barwy, od jasnożółtej do ciemno-fioletowej. Najstarsze worki są prawie czarne.

Otóż w takich to improwizowanych butlach przechowują Dalmaci swoje wino wydeptane. Dla człowieka wybrednego staje się ono przez to odrażające, szczególniej z przyczyny owych worków skórzanych, źle wyprawionych, a zawsze cuchnących. Dalmata przecież przyzwyczaił się do tego i wino własne jest dla niego specjałem.

Wszystkie sprzęty, potrzebne do wyciskania jagód, sprowadzają do winnicy na grzbiecie domowego sługi, najpożyteczniejszego w Dalmacji zwierzęcia, jakiem tam jest poczciwy osiołek. Osiołek odnosi też sprzęty do domu, dźwigając często i kadź, i deskę i ceber, i worek z winem, i własnego pana na swym grzbiecie. Cierpliwie i z pokorą niesie on swój olbrzymi ciężar, a worki poprzywiązywane do siodła, czerwienią się przy zachodzącem słońcu i bulgocą winem.

Taki powrót triumfalny do domu, odbywający się zazwyczaj przy towarzyszeniu ogólnej wesołości, przedstawia właśnie nasz obrazek.



MACIEK BZDURA GADA:

Najświętsza to przecie prawda, ze kto ma rozum, to zawsze będzie miał rozum, a kto głupi, to był, jest i będzie głupi. Ta święta prawda to sie dokumentnie sprawdza na mnie i na Kaśce. Ja miałem, mam i będe miał rozum, a Kaśka, Boże odpuść, zeby se języka po próżnicy w glinie nie walać. Ale tez i nic dziwnego, ze tak jest, jak jest, boć przecie w całej Psiej Wólce wiadomo, ze u mnie głowa starsa od całego ciała, bo przódzi na świat przysła, a u Kaśki przeciwnie: jej sie najpierw nogi urodziły, a dopiero po wszyćkiemu głowa, latego tez Kaśka podziśdzień ma większy talant w nogach, anizeli w głowie.

Przekonaliśmy sie o tem najlepiej oboje tego roku. Wszyćkie pieniądze, jakie my dostali od gospodarza na kolende, i te, co my se w ciągu roku uskładali, przeznacyliśmy na przyodziwe, bo tamtą przedwojenną juz pchły do imienia stermosiły. Kiedy przysed na nas swój cas, tak powiadam ja do Kaśki:

— I kiedys se ty, makolągwo, juz raz kupis jakiego płótniska, aby swoje brudne zewnętrzności przyodziać, coby nie były obrazą ućciwych ludzi?

— A trzaby, trzaby — powiada Kaśka — ino nie wiem, gdzie i jak?

— No to ci stuka — ja na to — ogłasa w „Roli“ p. Jórasz z Korczyny koło Krosna, ze sprzedaje płótna i cajgi wszelakiego rodzaju, mocne jakby z zelaza, to u niego najlepiej będzie kupić.

— A przyjedzie on to do Psiej Wólki?

— Zwarjowałaś babo, cy co? Miejscowy zaden cie nie kce, a tybyś kciała, coby do ciebie przyizdzali! Pójdziewa do pana organisty, ja mu zaniese packe tutoniu, a ty mu das co inksego i wyśtyftuje nam do pana Jórasza takie pisanie, które on nie tylko przecyta, ale i zrozumie i przyśle, co ino bedziewa chcieli.

— Głupiś! — powiada Kaśka. — Jakze to tak kupować kota we worku? Dyć on moze przysłać, co mu sie będzie podobało, a ty potem będzies musiał zapłacić. I ani się potargować ni mozna. Juz ja tam wole iść do Mośka w Mościskach, to se i wybiere i potarguje, i bede miała, co ino zechce.

Powiadam małpie, ze Mośkowe towary to tandyta zagranicna, zlezałe i słabe, ze przecie wiem z doświadcenia, ze jak cłek ino troche silniej se odetchnie, to w porcętach i miesiąca pochodzić nie mozna. Ale Kaśka nie i nie, tak ja powiadam: Rób se pokrako, co chces, ale pamiętaj, ze bez cały rok sie twojej spodnicy nie dotkne, coby nie było potem na mnie, jak sie od samego wiatru porozlatuje.

Posła tedy Kaśka do Mośka i nakupiła se różnych wykrochmalonych płótnów, które z nowości tak sie świciły, jak psu nos. Ja zasie poprosiłem pana organisty, który zabezdurno wyśtyftował mi pisanie do pana Jórasza i juz za trzy dni miałem wszyćką materję, jaką ino chciałem. Jak było juz wszyćko w chałpie, tak my sie wzieli na wyścigi do robienia przyodziewy. Kaśka od rana do nocy mierzyła, fastrygowała i syła la siebie, la mnie zasie to samo robiła Magda Onuconka i Franek Krawcyk. Magda tworzyła kosule i gajtasy, zasie Franek zwirzchni ancug. Zaceli zaraz po Zielnej, na Siewną było wszyćko gotowe!

I myślicie, ze nie tak było potem, jagem ja poprzódzi powiedział? Jak ino Kaśka włozyła swoje wymiona w nowe kosulisko i pirsy raz kichnęła z wielgiego ukontentowania, to jej zaraz mięsisko na wierzch wylazło i musiała je snurkami zawiązywać, coby jej tego psy nie wysarpały. Co tam było gdzieindziej, to nie wiem, bo przecie nie wypada ućciwemu człowiekowi wkładać tam nosa, gdzie nie dał grosa. Teraz takie casy, ze za wszyćko trza płacić!

Co do mnie zasie wnet miałem inse przekonanie. A było to tak. U Franaska, jak wszyćkiem wiadomo, są za stodołą na grusce przepiekne gruski. Ale są one takie morowe, ze się na drzewie ulegną, a na ziemie zlecieć nie chcą. Jak je kto chce jeść, to musi se po nie pójść na drzewo. W jedną niedzielę ślimy se z kościoła: Ja, Franek, Walek, Kuba i Jasiek i jakosik tak sie złozyło, ze my przyśli pod samą gruskę.

— Zjadłoby sie, ale jak? — powiada Kuba.

— Wyliź Maciek i narwij — dodaje Franek.

— Wyliź — powiadają wszyscy, a ze zawse większości trzeba słuchać, więc tez i ja tak zrobiłem i wylazłem.

Wylazłem i rwałem, com ta mógł, a kiedy juz miałem pełniusieńkie kiesenie, trach!... gałąź i ja lece na ziemie. Juz poleciłem moją duse świętemu Pietrowi, ale widocnie jescem w niebie nie był potrzebny, bo zawadziłem bluzką za gałąź i wise sobie na niej, jak nieboscyk Twardowski na księzycu. Zuźreli to chłopaki i dalejze mi z pomocą. Dwóch jęło ciągnąć za ręce, dwóch za nogi, ale bluzka nie puściła. Ciągną dalej i znowu trach!... Złamała się gałąź, ale i teraz nie spadłem na ziemie, bom sie kosulą cepił inksego sęka. I znowu chłopaki zacęli ciągnąć, jaze w nich trzescało i sęk trzescał, ale nie popuścił. Nie popuściła i kosula. Juzem se myślał, ze tak jak nieboscyk Twardowski będe wisiał do skońcenia świata na tem sęku i juz zacąłem odmawiać Zdrowaś Maryja do Wszyćkich świętych, kiedy Kuba poleciał do chałpy po piłke, sęka oderznął i mnie od wisenia uwolnił.

Kiedym przysed do chałpy, tak powiadam do Kaśki:

— Widzis, małpo, jakbyś mnie była słuchała i nie kupowała zydowskiej tandyty, toby ci jej pchły były nie rozniosły. Ja kupiłem u swojego, a choć tam pare grosy więcej zapłaciłem, ale wiem, ze świat sie skońcy, a w mojej przyodziewie będą ludzie jesce na księzycu chodzili.



Szczęście.

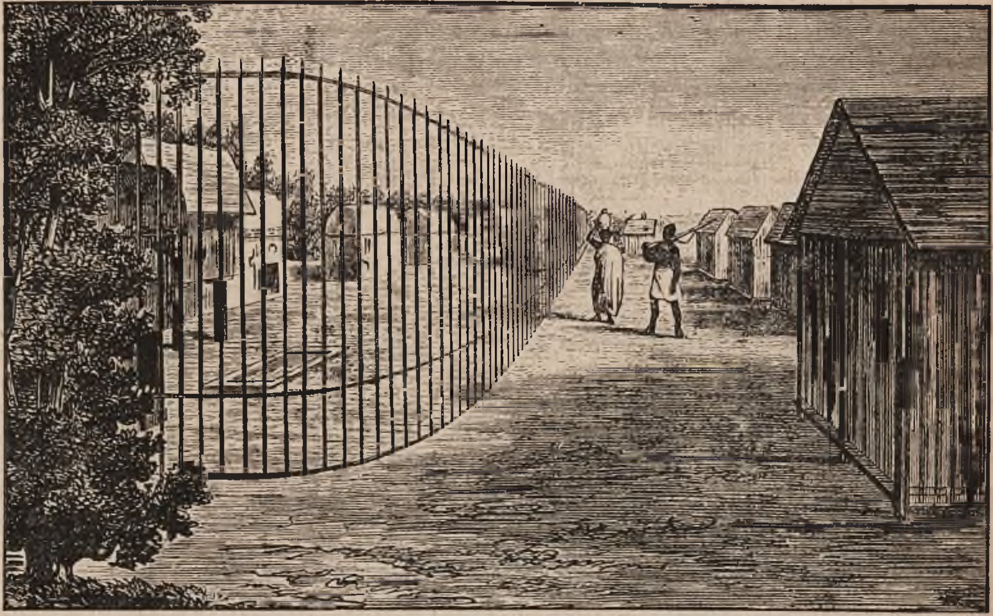
„Lepsze szczęście niż pieniądze“
Mówi znana gadka stara
Cóż, gdy ono w życia drodze
Ucieka kiej senna mara.
Czasem komu błyśnie w oczy,
Ale prędko się oddali
I znów sobie dalej kroczy
Po tej ludzkiej życia fali.
Każdy za niem w życiu goni,
Każdy za niem tęskni, wzdycha,
Bez szczęścia, jak kwiat usycha.
Ani pracą, ni nauką
Człowiek szczęścia nie zdobędzie,
Gdy go z brudnem sercem szuka,
Bez niego żyć zawsze będzie.

Andrzej Dej.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Madagaskar IV.

W poprzednich numerach »Roli« opisywaliśmy i podaliśmy obrazki cmentarzysk ludzi biednych na Madagaskarze. Inaczej chowają tam ludzi bogatych. I nic dziwnego wszak i u nas człowiek biedny ma po swej śmierci skromną mogiłkę, usypaną z grudek ziemi, na której często brak nawet krzyżyka drewnianego. Bo i za co go kupić, kiedy brakuje nawet grosza na strawę dla zgłodniałej dziatwy. Natomiast ludzie zamożniejsi na grobach stawiają kamienne, a nawet marmurowe pomniki, a jeszcze bogatsi budują grobowce, w których od biedy nawet mieszkaćby można. Taki stosunek zachodzi i u Madagaskarczyków. Kiedy biedni spoczywają, jak to widzieli nasi Czytelnicy na umieszczonych obrazkach w poprzednich numerach „Roli", w trumnach na powierzchni ziemi, lub bez trumien nawet w otworach skalnych, to u bogaczów nie ma to nigdy miejsca. Szczególniej u książąt tamtejszych!



Grobowce książąt sakalawskich na Madagaskarze.

Po śmierci książęta tamtejsi stają się półbogami, więc jako półbogowie muszą się czmś różnić od zwykłych śmiertelników. A więc najpierw ciała ich po śmierci leżą przez dwa miesiące złożone na otwartem polu pod namiotem, gdzie się ciągle pali kadzidło, a lud schodzi się zewsząd dla uczczenia ich i głośno rozwodzi lamenta. Oczywiście każdy krzyczy i płacze tak głośno, jak tylko może, aby go nieboszczyk łatwiej usłyszał i w przyszłości miał go pewniej w swojej opiece. A kiedy jest już nadzieja, że wszyscy zaskarbili sobie dostatecznie łaski nowego półboga, wnoszą nieboszczyka, cuchnącego niemiłosiernie, na cmentarz królewski i tu go umieszczają w specjalnym grobie. Czasem grób znajduje się wewnątrz ziemi, czasem na jej powierzchni. W każdym jednak razie ponad grobem budują każdemu nieboszczykowi oddzielny domek, aby duch półboga w razie czego miał gdzie przebywać i nie gniótł się w ciasnym grobie. Wszystkie grobowce są nadto otoczone, jak to widzimy na naszym pierwszym obrazku, wysokim żelaznym płotem. Cmentarze książęce są utrzymywane bardzo starannie, co zresztą słusznie przecież półbogom się należy.



Publiczne palenie bożyszcz pogańskich.

Te wszystkie zwyczaje i wierzenia tamtejsze wykorzenia obecnie religja katolicka. Misjonarze mieli tu jednak trudne zadanie; bałwochwalstwo było tam tak zakorzenione, że nie sposób było z niem walczyć. Ale pomógł im przypadek. Angielscy predykanci, mając na wyższe sfery rządowe, a temsamem i na tamtejszą królową większy wpływ, aniżeli kapłani katoliccy, a pragnąc równie jak i oni usunąć bałwochwalstwo, naleganiem i ofiarami pieniężnemi dokazali tego, że ministrowie i królowa zgodzili się na spalenie licznych tamtejszych bałwanów pogańskich. Było to w roku 1869. We wrześniu wyszło rozporządzenie, aby po całym kraju burzono wszystkie bałwany i palono publicznie wszystkie domowe bożyszcza, jako nie mające żadnej władzy i żadnego znaczenia. W lot wykonano ten nakaz. Oficerowie królewscy, rozesłani na wszystkie strony, zmuszali wszystkich do palenia wszelkich bałwochwalczych przedmiotów, a w niektórych miejscach przeprowadzano wykonanie tego rozkazu tak bezwzględnie i tak surowo, że ludność zniechęcono do panującego rządu. To zniechęcenie sprawiło właśnie, że lud zraził się do angielskich predykantów, których uważał za sprawców zamachu na swe bożyszcza, a zwrócił się skwapliwie do religji katolickiej, która skuteczniej przemawiała do jego sumienia, aniżeli wszelkie brutalne zarządzenia rozmaitych sekt protestanckich.

Jedną ze scen takiego palenia bożyszcz opodal Tananarywy, stolicy Madagaskaru, przedstawia nasz drugi obrazek. Na akt ten zebrało się około 3.000 ludzi zdolnych do boju, prócz niewolników i niewiast. Tłumy zajęły wzgórza w ogromnem półkolu. W środku odgraniczono koło, w którem miano rzucać na stos rozpalony wszelkie przedmioty czci bałwochwalskiej. Każdy ojciec rodziny przynosił skrzynkę z amuletami i bożyszczami, a jeden z urzędników sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Dochodzenie to trwało przeszło pół dnia, a kiedy już wszystko sprawdzono, rzucano bożków i talizmany na stos, które poraz ostatni zajaśniały jasnym płomieniem na tej ziemi. W tem jednem miejscu spalono przeszło 300 bożków, spłonęła ich też bardzo wielka liczba i w innych miejscowościach. A kiedy tubylcy przekonali się, że bogowie nic sobie nie robią z doznanej zniewagi mniej ich cenili i prędzej dawali się nakłaniać do przyjęcia wiary Chrystusowej.

Niestety! zbyt mało jest misjonarzy, aby mogli swą działalnością objąć całą tak wielką wyspę, toteż choć religja katolicka czyni tu znaczne postępy, to przecież nie jest tak rozpowszechniona, jakby być powinna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULJAN BACZYŃSKI.

Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

6. Odmienne dusze.

Pobożny Piotruś Skała już teraz coraz częściej grał przed Chrystusem na skrzypeczkach i w ten sposób się modlił. Do takiej modlitwy, do takiego w niej zatapiania się coraz bardziej nawykał. Bywało nieraz że i ludzie, co do tej w kościele muzyki przywykli, już dwno z kościoła powychodzili i kościelny nadaremnie kluczami dzwonił, rozpromieniony Piotruś grał i grał bez ustanku. W takiej samotności, w tem obcowaniu tylko z Chrystusem, serce biednego chłopca podnosiło się wysoko i największej doznawał ulgi. Ale to długie granie wyczerpało go bardzo, skrzypki wypadały mu z rąk i muzyka ustawała, a on osłabiony i bezwładny dyszał nieraz długo na posadzce, wzrok tylko mając wlepiony w Chrystusa Pana.

Często zdarzało się, że po powrocie z kościoła coś przyjemnego go spotykało i albo dostał jaką w domu robotę, albo wzywano go, aby grał gdzie na weselu, lub też spotkał miłą swoją Jagienkę, z którą przyjemnie sobie porozmawiał.

Raz pod wieczór, gdy ze skrzypkami na skale blisko chaty siedział i dopiero kilka słów przemówił do pięknej Jagny, co z pękiem leśnych dzwonków do domu biegła, rozległo się w pobliżu nagłe stąpanie i dyszący czy sapiący mocny oddech dał się słyszeć. Gałązki leszczyny odchyliły się z trzaskiem i przed Pietrkiem stanął nagle zziajany Bartos. Zatrząsł się cały, stanął jak wryty, brzozowe i łozinowe pręty spadły mu na ziemię i potoczyły się aż pod stopy Pietrka. Spojrzał mu ostro w oczy, na chwilę spuścił wzrok, lecz zaraz głowę podniósł.

— O ty już tutaj? — zawołał sapiąc — i pod wieczór nie dasz Panu Bogu spokoju z twemi skrzypicami!

Pietrek, spojrzał z wyrzutem na niego, westchnął lekko i ręką czoło sobie potarł. Podniósł się z miejsca i rzekł po chwili:

— Słuchaj-no Bartos, powiedz mi ty choć raz, dlaczego oddawna tak brzydko na mnie poglądasz, com ja ci krzyw?

Kordas spojrzał ostrzej, przystąpił nagle do samego Pietrka i chwycił go za kołnierz płótnianki.

— Pietrek a Jagna Zaliwianka, hę?! — zawołał krótko i odskoczył. Zadrżał Pietrek na te słowa, aż skrzypki zadźwięczały, cofnął się nieco, spojrzał łagodnie na zuchwalca, miał coś rzec, ale milczał. To milczenie gniewało niecierpliwego Kordasa.

— Nie gadasz nic — zawołał znów — hm, a na skrzypcach ciągle rzempolisz i Jagnę za sobą ciągniesz, co?!

I znów urwał, czekając jakiej odpowiedzi, któraby zaczepką być mogła. Nie mogąc się tego doczekać, spuścił głowę, oparł się o krzak leszczyny i rzekł spokojniej:

— Ty ciągle przed krzyżem wygrywasz, jakby to nie potężne były bogi Perun, Jesse, Lelum Polelum, Poświt. Czemuż ty wielkiemu Perunowi przed świętym dębem nie zagrasz nigdy, co?!

Teraz Pietrek podniósł rękę do góry, ciemne oczy zaświeciły mu mocno.

— O Bartosie, twardy Bartosie — rzekł podniośle — ja mam grać dla pogańskich bogów, których już niema, gdy słodki Pan Jezus, co za nas męczeńską śmierć poniósł, tyle łask biednym ludziom tu pokazuje?! Ja gram i grać będę przed miłosiernym Chrystusem, bo Go uwielbiam i kocham, bo Go proszę, by się zmiłował nad niedolą naszą, czy nie wiesz, czy nie słyszysz, o Bartosie?!

I trzymając rękę podniesioną patrzył płomiennym wzrokiem w Kordasa. Ten wzroku tego długo znieść nie mógł, natchnione słowa Pietrka przeszywały mu serce. Burza, którą miał w sercu i dzika chęć zemsty, z którą lasem pędził, słabła mu i nikła, oblicze mieniło mu się i blakło, oczy drżały i mrugały żywo.

— Oho, ksiądz by lepiej nie gadał, jaki mi, do Peruna! — mruknął. I jak zwierz dziki, co przejmującem spojrzeniem i łagodnym człowieka głosem bywa pokonany, spokojnie odwraca głowę i odchodzi, tak Bartos pochylił się, pochwytał pręty na obręcze, odwrócił się i chyłkiem w bok się usunął. Rozpłomieniony Pietrek chciał jeszcze coś mówić, lecz widząc znikającego, usiadł spokojnie na skale i odetchnął głęboko.

7. Pogański dąb.

Wiosenny mrok wieczorny od ziemi podnosi się ku jaśniejącym zorzom, które zaczynają blednąć, zasępiać się, gasnąć. W nizinie pagórkami osłoniętej stary pogarbiony dąb czernieje bardziej, odbijając swe olbrzymie konary w nurtach powolnego strumienia, sączącego się do Wisły. Im ciemniej ponad ziemią, tem straszniejszym wydaje się ten dąb pogarbiony, tem bardziej złowrogo sterczą ku niebu jego opalone konary, na których sadowią się kruki i wrony, i o które trącają z trzaskiem przelatujące błędne nietoperze. Od czarności konarów odbijają białe brzozy, poza któremi mignęły właśnie dwie zgrabne sarenki, by w strumieniu zaspokoić swe pragnienie. Nagle pod dębem dał się słyszeć gwałtowny chrobot i krótkie miauknięcie. Zatupotało w oddali i lotne sarenki zniknęły między drzewami. Z dziupli olbrzymiego dębu wyjrzała stara pochylona kobieta za czarnym kotem. On to, za fruwającymi podrzucając się nietoperzami, spadł z wysokiej gałęzi na kamień pod dębem i narobił w lesie hałasu.

— Pójdź, mruczku, pójdź! — rzekła pieszczotliwie stara, choć głos jej brzmiał tak, jakby kto suchym kijem tłukł w rozbity garnek. Mruczek wyciągnął się poufale koło swej pani, ciemna sierść jego na grzbiecie, głaskana suchą dłonią wydawała świetlane iskry. Ciemność spowijała drzewa a z głębi lasu zaczęły dochodzić lekkie stąpania i głuche trzaski. Stara wyciągnęła przed siebie ręce i nasłuchiwała.

— A hu — mruknęła — może od Wisły jakie mokre, kapiące ramiona topielca po gałęziach się wieszają, lecą... a hu!

— A hu... to ty zmoro, ropucho, coś chłopa zadławiła, już palisz ślepiami, już skaczesz do mnie, źle ci pod ziemią... a hu!

— A hu... to ty zębami kłapiesz siny łbie, co na pajęczych nogach suniesz do mnie od grodu... a hu!

Szybkie stąpanie słychać było coraz bliżej. Coś nagle przycupnęło do dębu. Stara krzyknęła, kot głośno mrauczeć począł. Rozległo się krzesanie. Kłaki suchych konopianych paździerzy przyłożone do tlejącej hubki, strzeliły jasnym płomieniem.

— A to wy dzieweczko miła? — rzekła z przemileniem się stara. Przed nią stała wiotka, pochylona dziewczyna w ciemną owinięta chustkę. Z zasłoniętego oblicza jednem okiem patrzyła przed siebie, na bok przechylając głowę i wytykając jedną ręką ku starej, która skwapliwie ją pochwyciła.

8. Zaklęcia i wróżby.

— Cóż gołąbkę miłą, cóż Jagienkę złotą tu do mnie sprowadza? Wiem, czy nie wiem?

Dziewczyna westchnęła i przysunęła się bliżej.

— Gołąbko moja, opowiem o nim, miły, łagodny, zgrabne skórnie robi, ślicznie gra, ho, ho...

— Powiedzcież Pieczarzyno, jak się to z nami skończy, ja dłużej tak żyć już nie mogę! Matuś nie pozwalają, że biedny, za innego każą iść... Mów, radź mi co na to, wróż, przepowiadaj, zaklinaj, bo ja się modlę i w domu i w kościele, a serce niema rady i pęknąć chce, oj!

Mówiła zadyszana, coraz prędzej i coraz ciszej i obejrzała się, przestraszona własnemi słowy:

Stara pochwyciła jej dłoń i wlepiła w nią oczy. Po chwili mocno głową kiwać poczęła, mrucząc jakby do siebie:

Krótkie urwane kreseczki,
Jakiś dziwny los się znaczy
Ale dla złotej dzieweczki,
O, jeszcze będzie inaczej.

— Och Pieczarzyno! — stęknęła Jagna i głowę na ramieniu baby wsparła.



— Cóż Jagienkę złotą tu do mnie sprowadza.

Nagle skrzypnął przeraźliwie konar dębu i dwa kruki, kracząc, zerwały się w powietrze. Zdaleka od Wilczego dołu rozległo się przeciągle wycie wilka. Dziewczyna zadygotała.

— Nie bój się dziecko, wilki za częstokół nie przyjdą, tylko zdaleka węszą i wyją!

To rzekłszy, odstąpiła i pochyliła się koło dębu, a w tejże chwili błysnęły poza nim migotliwe płomyki i miły zapach palonych ziół się rozszedł. Stara puściła się teraz koło dębu; za nią wiły się dymy ziół i biegał mrucząc czarny kot. Krzywy dąb łagodnie szumieć począł i dalekie jakieś trzepotanie ptasząt się rozległo.

Pieczarzyna stanęła teraz prosto, spojrzała w księżyc, potem na wijące się równo w górę dymy ziół, uśmiechnęła się i dygnęła, wołając:

Dymy prostują się, plączą,
O, wnet ze sobą się złączą.
Ścieżki waszego żywota!
Lecz niechaj Jagienka złota
Jak może ofiary czyni,
Dla Dziedzilji, dla bogini,
Niech się modli nie narzeka,
Tylko czeka, czeka, czeka!...

Dziewczyna kręciła główką i stała niespokojnie, bo z za wzgórka rozległy się głosy nawoływania drzwi trzaskanie.

— Dziękuję wam Pieczarzyno, muszę już biedz! — rzekła i zwróciła się ku domowi. Baba z garścią ziela przyskoczyła do niej.

— Gołąbko jasna, weź to ziele, trzymaj przy sobie, a kiedy możesz, daj mu z czem wypić, musi być twoim!

Na Boga, kobieto, to trucizna, ja nie chcę!

— O serce złote, to ziele poświęcone, to złoty lubczyk, zbierany przy księżycu, on każdą parę złączy!

Dziewczyna chwyciła szybko ziele, dygnęła starej i uciekać poczęła.

— Bóg wam zapłać, nie zapomnę o was!

Baba wołała za nią:

Kiedy pijąc miodek biały
Przy tobie Jagienko siędzie,
O wlep w niego twój wzrok śmiały
Musi być twoim i będzie!

Dziewczyna biegła, wiatr szumiał, a jej się zdawało, iż ją coś goni, coś za nią chrobocze, miauczy, uciekała więc coraz prędzej. Pomiędzy drzewami mignęła przed nią wysoka postać chłopa z łukiem na ramieniu. Przeciągły pogwizd rozległ się po lesie.

— Upiór z Łysej góry! — szepnęła.

Zdyszana dopadła do chaty za pagórkiem i zatrzasnęła drzwi za sobą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SWAT

czyli jak głupia świnia po śmierci za swata służyła.

(Humoreska.)

(Dokończenie).

Naraz ucichły kroki, po chwili dało się słyszeć psykanie.

Chwilka ciszy i nagle z drugiej strony, tuż z pod Wicka odezwało się również: — Pst tu, pssst.

— Jezus, — przeleciało chłopakowi przez głowę, dygocącemu, jak liść osiczyny — to się chyba djabły zmawiają.

Nie mając nic innego do roboty, bał się i — słuchał.

— Jadam, tu haw chodźcie.

— Macie go?

— Mamy, chodźcie, dzielmy się, zabierajmy i w nogi.

— No, Bogu dzięki, ale jakże się będziemy dzielić?

— Ano jest tego cztery połcie.

— Cztery no to dobrze. Wy se oba weźmiecie po jednemu, a dla mnie dwa.

Chwila milczenia, potem:

— Po jakiemu: wy dwa, a my po jednemu?

— Prosto: ja starszy, ja wypatrzył, ja obmyślał, ja...

— Wy, wy wszystko. A kto poszedł i wyniósł?

— Wielka sztuka jakem ci dokumentnie wszystko pedział.

— Po sprawiedliwości musi być! Bierzemy se po połetku, a czwartym się dzielimy.

— No tak, a czwarty będzie do podziału, akurat u mnie są chrzciny, to go wspólnie ugotujemy i zjemy.

— A, widzisz go? Jaki to przemądrzały.

I dalejże się spierać, kłócić, kto wie, możeby i do bitki przyszło, aż tu naraz — chlast! — złamała się gałąź i Wicek bęc — głową trachnął o czyjeś ramię, a obcasem czuł dobrze jak w czyjś łeb wyrżnął, aż jękło.

— Jezus Marja! — wyrwało się chłopakowi.

— Rany, nieboszczyk! — usłyszał głos bezgranicznie przerażony i zarazem tętent i szurgot liści w trzy strony świata. Usiłując powstać, natrafił dłonią na coś gładkiego i śliskiego i cofnął ją ze wstrętem. — Trup — pomyślał. Jednak wnet się opamiętał i poznał, że... to mięso z ich wieprzka. Poznał, co jest, i w mig się domyślił zwłaszcza, że po mowie widziało mu się, że to Jadam był.

Zerwał się, jednym susem przesadził płot i pognał zdyszany, zimnym potem jeszcze oblany, do chałupy.

— Gdzie Jadam?

— Wyszedł dopiero, bo mu kobieta zaniemogła.

— A gdzie wieprzek? — było drugie pytanie.

Pojrzał bystro na parobka Opała, a wypity był i pyta:

— Cóż tobie? Z dęba spadłeś, czy ci się w głowie pomieszało.

Tedy Wicek, nie pytając, wziął lampę — i do komory. Patrzą — próżniuteńkie koryto stoi... Z wielkiego wieprza jeno się głowa ostała...

Nim zrozumieli, co się stało i ochłonąć zdołali z pierwszego wrażenia, już Wicek rozkazywał:

— Bierzcie gospodarzu kija, a grubego i za mną! Złapiemy ptaszków i odbierzemy, co nasze. Tylko prędzej!

Opalina i Staszka w płacz, a Marcin pyta:

— Kaj są te psiekrwie złodzieje, gadaj!

— Dy hań w Kulasowym sadzie. Kaj latarnia?

Marcin w mig wytrzeźwiał, choć setnie był przynapity, chwycił żarnówkę tęgo okutą i Wicek z latarnią i potężną kłonicą hyłkiem, a hyżo pobiegli do sadu. Jużci złodzieje nie czekali; wcześniej zwąchawszy pismo nosem, zebrali mięso i poszli.

Opała z Wickiem przetrząsnęli cały sad, ale napróżno.

— Ha, złodzieje, psiekrwie! — klął i trząsł się ze złości Opała.

Wicek nie klął, lecz i on był zły, że rety i na złodziei i sam na siebie, że się dał wykpić. Wtem krzyknął:

— Jest!

— Co jest? Mięso? — pytał Marcin.

— Nie, kapelusz czyjsik.

— Djabli mi z tego kapelusza.

— Chodźcieno, patrzcie, czyj on może być.

Świecił latarnią i oglądał na wszystkie strony duże, kiedyś czarne, wyblakłe kapelusisko, zaś Opała ledwo okiem rzucił — krzyknął:

— Święty Marcinie, co widzę? Dyć to Jadama Basińskiego!

— Hm, juści — odpowiedział Wicek, uśmiechając się chytrze — waszego swata, niema co!

Opała aż zębami zgrzytał.

Trza nam duchem do sołtysa, i z rewizją do złodzieja. To mi sąsiad i przyjaciel.

— Ho, ho! Będziecie mieli zięcia nielada, jak wam go taki swat narai. Będzie gospodarka rosła, jak na drożdżach. Wiadomo „kto robi, a przykrada, to dobrze wygląda".

Marcin nic nie odpowiedział, ale ze zdobyczą w ręku i latarnią ruszył przez wieś do sołtysa. Tam, że było kilku sąsiadów, nie spali jeszcze — poszli więc hurmem do Basińskiego. No, i znaleźli!

Basiński ze wstydu omal się w ziemię nie zagrzebał, ale darmo! Na drugi dzień policja go zabrała ze sobą.

A cóż dopiero, jak się po wsi rozniosło! Jak wzięli ludziska Basińskiego obracać na językach, tak i Opale nie przepuścili, że to z takim interes weselny prowadził. A Wicek co staremu nie nadokuczał? a nawet Staśka też czasem jakie zgryźliwe słówko rzuciła o tym swoim narzeczonym Jantku i jego swacie — złodzieju.

Paluchy przyznali się, jak i co było, cała wina spadła na Jadama, a Jantkowi zaraz Marcin odesłał stratę. A kiedy ludzie precz mu dokuczali i co się

kto o dzieuchę pytał, zaraz i jego pytali, czy taki jak Jadam? zawziął się Marcin i pada.

— Bez swatów dzieuchę wydam za porządnego chłopca!

I na złość wszystkim wydał! Prostą drogą — za Wicka. *Jasień.*



Poradnik gospodarczy.

Uprawa chrzanu.

Chrzan należy do roślin, które używają w każdem gospodarstwie, wobec czego ci, co go hodują racjonalnie, mogą z niego mieć znaczny pożytek. — Grunt pod chrzan przysposabia się w jesieni, mianowicie daje się jedną orkę płytką dla umożliwienia skiełkowaniu nasion chwastów, poczem bronuje się pole raz i drugi w pewnych odstępach czasu i gubi w ten sposób zielsko wzeszłe. Następnie daje się dobrze przegniły obornik i przyoruje go dosyć głęboko, rozluźnia ziemię pogłębiaczem na 10 do 12 cali i całe pole wałkuje raz w podłuż, drugi raz w poprzek.

Na wiosnę, gdy tylko ziemia tak obeschła, że można wozem przejechać daje się znowu przegnitego nawozu i przyoruje go płytko, pole bronuje, wałkuje i znaczy znacznikiem rzędy 24 do 30 cali od siebie, zaś pod wysadki przejeżdża po tych poprzek znacznikiem, znacząc punkta co 12 cali od siebie. Otrzyma się w ten sposób prostokąty, których boki będą od 24 do 30 cali długie, i boki po 12 cali długie względnie stanowiące odstępy wysadek od siebie.

Przygotowane na jesieni wysadki (sadzonki) 10 do 12 cali długie oczyszcza się suknem, i wkłada po jednej, cieńszym końcem na dół w dołek kołkiem w ziemi zrobiony, nieco ukośnie i tak głęboko, by wierzchołek czyli czopek korzenia można nakryć warstewką calową ziemi. Tak ziemię około zasadzonej wysadki, jak i na wierzchu korzenia utłacza nieco rękami i sadzenie gotowe.

Pozostaje tylko praca przy pielęgnowaniu. Pod pielęgnowaniem należy rozumieć plewienie, zruszanie powierzchni gruntu po nawalnych deszczach, w dnie zbyt upalne, ocieranie korzeni i t. p. Obsypywanie chrzanu, o ile to okaże się koniecznem, powtarza się i kilka razy. Przy drugiem obsypywaniu (okopywaniu) zwykle pod koniec czerwca następuje podnoszenie, czyli oczyszczanie chrzanu, a to by korzenie główne z drobnych bocznych oczyścić. W tym celu odkopuje się korzenie wysadek do połowy, podnosi zapomocą dwuzębnej motyki nieco w górę i zapomocą noża oczyczcza się z bocznych korzonków większych, zaś nowe niteczkowate obciera ręką, lub kawałkiem szmatki tak, że przyszły korzeń chrzanu na sprzedaż przeznaczony będzie i gładki od wszelkich narośli i niepożądanych korzonków wolny. Przy robocie tej obrywa się także wszystkie pędy liściowe, pozostawiając tylko jeden najsilniejszy, co ma za sobą ten skutek, że korzeń szybciej grubieje i formuje na sobie jedną dobrze rozwiniętą główkę, a nie kilka ich, jak to widzimy na chrzanie dziko rosnącym. Oczyszczone w ten sposób korzenie obsypuje się napowrót ziemią, ugniata ją rękami i całe pole, czy pojedyncze zagony wyrównuje grabiami już to dla ładu, to znowu, by drobne świeżo wzeszłe chwasty wygrabiać, a i na działanie słońca dla zniszczenia wystawić.

Przy trzeciem okopywaniu, jakie po trzech tygodniach zwykle następuje, należy tę samą robotę powtórzyć, poczem pozostawia się już chrzan w spokoju aż do czasu zbioru.

Druga, jak i inne metody uprawy chrzanu podobne są do powyżej opisanej, różnica bywa zwykle w tem, w jaki sposób wysadki chrzanu się oczyszcza i układa, potem zaś jak je z korzeni nitkowatych obiera.

Ulubioną metodą jest układanie wysadek chrzanu na skośno wkopanych w ziemię deskach, wskutek czego korzenie mają więcej dostępu do światła i powietrza, są o wiele w smaku delikatniejsze i piękniej wyrastają.

W tym celu całe pole pod uprawę chrzanu przeznaczone uprawia się podobnie jak w metodzie pierwszej, mając zawsze na względzie, że uparwa ta starczyć musi na lat kilka, i że właśnie od niej, od przygotowania roli udanie się plonów, więc i spodziewanych zysków zależy. Poczem gdzie znacznik rzędy wskazuje, wkopuje się skośno dwunastocalowe tarcice (deski poślednie), o ile możności sosnowe, jako dłużej wilgoć znoszące, pokrywa je warstwa ziemi i dopiero na tejże układa wysadki chrzanu, jak należy ziemią je przykrywa, ugniata, by tem prędzej się przyjęły. Chrzan tak wysadzony nie tylko przyjmuje się prędzej, ale i prędzej rośnie, mając więcej ciepła, jakie nabiera drzewo z promieni słonecznych i udziela mu w nocy. Odkrywanie wysadek dla oszyszczenia z korzonków nitkowatych jest przy metodzie tej znacznie ułatwione, podobnież i zbiór wyrosłych już korzeni.

Przy metodzie tej, przy drugiem, trzeciem lub czwartem okopywaniu, można wyjąć całe wysadki chrzanu, oczyścić je kawałkiem sukna lub brolapu, pozostawiając jeden lub dwa korzonki boczne na wysadki na rok następny, inaczej zebrać plon dwojaki, bo i korzenie na market wyśmienite i korzonki boczne (które się odcina) na wysadki, już to dla siebie, lub na sprzedaż.

Miejsce puste, po wybranych korzeniach dosadza się każdej wiosny, by ale sadzenie takie wcześniej przeprowadzić, by wiedzieć, gdzie wysadkę zasadzić trzeba, należy już w jesieni — podczas wybierania dojrzałych korzeni znaczyć je umyślnie w tym celu przygotowanymi palikami, a o tyle raźniej pójdzie dosadzanie na wiosnę.

Poradnik lekarski.

Dziąseł obrzmienie występuje najczęściej z powodu nieczystego utrzymywania jamy ustnej, kamienia zębowego, ponadto w wielu chorobach, jak niedokrewność, kiła, gnilec i t. p.

Leczenie: Należy przedewszystkiem zbadać przyczynę i leczyć chorobę podstawową. Zęby i dziąsła należy codziennie czyścić szczoteczką, szałwią, miętą lub proszkiem miętowym. Dziąsła owrzodziałe płókać herbatą z skrzypu.

Fluksja jest następstwem próchnienia zęba lub przeziębienia i przeciągów. Ciepła kąpiel nożna, okłady ciepłe na twarz, płókanie odwarem z główek makowych i szałwji.

KRONIKA.

Od Administracji. Prosimy wszystkich tych Czytelników, którzy prenumeraty na czwarty kwartał jeszcze nie odnowili, aby prenumeratę corychlej wysłali, celem uniknięcia przerwy w dalszej przesyłce „Roli“.

Ś. p. Jacek Malczewski. W ubiegłym tygodniu zmarł w Krakowie jeden z największych artystów malarzy polskich Jacek Malczewski, przeżywszy 75 lat. Pozostawił on po sobie bardzo wielką ilość pięknych obrazów, które imię jego wsławiły po całym świecie. Pogrzeb ś. p. Mistrza odbył się w ubiegłą sobotę w Krakowie przy licznym udziale publiczności. Zwłoki ś. p. Jacka Malczewskiego pochowano w grobach zasłużonych na Skałce, a pożegnalną mowę nad trumną Zmarłego wygłosił minister oświaty Czerwiński.

Rekrutacja robotników do robót za granicę. Państwowy urząd pośrednictwa pracy w Krakowie, przy ul. Krowoderskiej l. 5 zawiadamia, że rekrutacja robotników do Francji odbędzie się dnia 22 b. m. w Makowie, dnia 23 b. m. w Krakowie. Zapotrzebowanie obejmuje robotników niewykwalifikowanych — samotnych i z rodzinami do fabryk, kopalń węgla i rudy żelaznej, szwajcarów do krów oraz wolarzy. Rekrutacja robotników do Belgji odbędzie się 21 b. m. w Krakowie, 22 b. m. w Bochni.

Tragiczny wypadek w Tatrach. W ubiegłym tygodniu, korzystając z pogody, wybrali się na wycieczkę, aby zdobyć Zamarłą Turnię od strony południowej, trzej taternicy, między nimi znany narciarz Bronisław Czech. Gdy znaleźli się na szczycie, zauważyli, że tą samą stroną podchodzą dwie turystki, w których rozpoznali po zbliżeniu się byłe uczenice gimnazjum w Zakopanem Marzennę i Lidę Skoticzówny. W pewnej chwili taternicy zauważyli, jak z pod trawersu odpadła od skały pierwsza postępująca w górę Lidja, która, lecąc w przepaść, pociągnęła za sobą przywiązaną do liny swoją siostrę Marzennę. Obie runęły na piargi z wysokości 80 metrów. Turyści pospieszyli natychmiast na miejsce wypadku, aby udzielić pomocy nieszczęśliwym ofiarom, niestety znaleźli już tylko dwa zniekształcone trupy. Taternicy zeszli natychmiast na Halę Gąsienicową, gdzie zawiadomili o wypadku Pogotowie ratunkowe.

Likwidacja szajki złodziejskiej. Po długich dochodzeniach i wywiadach udało się zlikwidować grasującą już od dłuższego czasu na terenie Zakopanego szajkę złodziejską. Gdy przed kilkoma tygodniami wyłapano pewną bandę z Jugowcem i Spytkiem na czele, zdawało się, że nastanie w Zakopanem spokój, tymczasem pojawiające się dalsze kradzieże, tak przez okna, jak z włamaniem, a przedewszystkiem bezczelne napady rzezimieszków na spacerujące samotnie po okolicy dalsze kobiety, zaprzeczyły temu. Nie zaniechano więc dalszego śledztwa i wreszcie przed kilku dniami wpadnięto na ślad. Przy aresztowaniu sprawców kradzieży drobiu w „Lwowiance“ i Zakładzie św. Józefa na Bystrem, niejakich Zydronia Franciszka i Króla Alojzego, znaleziono w czasie rewizji różne części ubrań góralskich, pochodzących, jak się okazało, z kradzieży dokonanej z włamaniem u Anny Matejowej w Kościeliskach. We włamaniu tem brało udział czterech rzezimieszków, którzy sterroryzowawszy śpiącą na strychu, do którego się włamali, dziewczynę groźbą zarąbania jej siekierą, zabrali wtedy różnych części garderoby na jakie 500 zł. W międzyczasie dowiedziano się, że żona Zydronia wyjeżdżała obładowana tobołami do Krakowa. Wysłane za nią listy gończe doprowadziły do przyaresztowania jej i skonfiskowania trzech tobołów z różnemi, z kradzieży pochodzącemi rzeczami. Dalsze śledztwo ustaliło, że w kradzieżach brali jeszcze udział, poza już wymienionymi: Zydroń Józef, Gicała Stanisław, Borek Stanisław i Borek Zygmunt oraz Marja Zydroniowa, Marja Król i Borkowa. W tej chwili cała szajka znajduje się już w aresztach sądowych, a rzeczy jej odebrane albo zostały częścią zwrócone właścicielom, albo znajdują się jeszcze w komisarjacie, gdzie po rozpoznaniu można je odebrać. Według przybliżonych obliczeń banda ta dokonała kradzieży na sumę powyżej 5 tysięcy zł. na szkodę kilkunastu osób.

Włamanie w Podwilku. W ubiegłym tygodniu włamał się nieznany sprawca do mieszkania Marcina Mormula w Podwilku, powiat Nowy Targ, przez wyłamanie zapory u drzwi wchodowych. Włamywacz wszedł następnie do mieszkania, gdzie po rozbiciu kufrów skradł 1.000 dolarów, 120 złotych i 50 koszul amerykańskich. Ten sam sprawca włamał się do mieszkania Ludwika Smiecha w Harklowej, a następnie do mieszkania Kapuśniaka w Harklowej, gdzie skradł zegarek niklowy, 2 brzytwy i 380 zł. w gotówce. O dokonanie tych kradzieży jest silnie podejrzany Ludwik Brandys fs. Jan Maciaszek ze Spytkowic, pow. Maków, który dotychczas się ukrywa.

Zbrodniczy czyn swawolnego chłopca. Onegdaj wybuchł pożar w zabudowaniach Franciszka Kozuba w Płazie pow. Chrzanów, który zniszczył stodołę wraz z narzędziami gospodarczemi. Szkoda wynosi około 4.000 zł. Stodoła ubezpieczona była na 3.000 zł. Dochodzenia ustaliły, że stodoła została ze swawoli podpalona przez 6-letniego Franciszka Koczoła, który krytycznego dnia był wraz z swoją matką w domu Kozuba, gdzie matka jego wypiekała pieczywo na ucztę weselną.

Morderstwo w Błażowej. W ubiegłym tygodniu we wsi Błażowa koło Rzeszowa zostało dokonane morderstwo. Ofiarą tegoż padł Leon Legieć, liczący 24 lata, tamtejszy mieszkaniec. Sztyletem zamordował go niejaki Fr. Sadłowski, który po swym czynie zbiegł w niewiadomym kierunku. Jak policja stwierdziła, morderstwo zostało dokonane z zemsty.

Zdemolowanie bożnicy w Brzeżanach. W nocy z ubiegłej niedzieli na poniedziałek nieznani sprawcy wdarli się do głównej bożnicy w Brzeżanach. Rozbili oni arkę i zbezcześcili rodały a równocześnie spalili cenną bibljotekę, składającą się z modlitewników oraz wartościowych ksiąg talmudystycznych. Sprawcy zdołali zbiec. Dochodzenia policyjne w sprawie tego tajemniczego napadu są w pełnym toku.

Niezwykłe zjawisko w Kielcach. Lotem błyskawicy rozeszła się w Kielcach wieść, że stojąca na Rynku figura św. Tekli, zwrócona twarzą do katedry, z niewyjaśnionych przyczyn odwróciła głowę. Pierwsi zauważyli to zjawisko przechodnie, mieszkający od lat w tej dzielnicy miasta i zawiadomili o tym niezwykłym wypadku władze duchowne i policyjne. Przeprowadzone doraźne dochodzenie stwierdziło istotnie, że figura św. Tekli ma odwróconą głowę o 30 stopni od normalnego położenia. Przez cały dzień przed figurą gromadziły się tłumy ludzi, żywo komentujące ten ciekawy fakt. Zaznaczyć należy, że figura nie ma śladów żadnych uszkodzeń, jedynie widoczne jest skręcenie szyji. Wypadek ten powszechnie poczytywany jest jako cud. Władze prowadzą dalsze śledztwo.

Niebywałe zajście w sądzie. W sądzie grodzkim w Katowicach rozegrała się niebywała w swem zuchwalstwie scena. Sądzono mianowicie znanego na gruncie katowickim rzezimieszka Ryszarda Niemca, oskarżonego o paserstwo i opór władzy. Kiedy sędzia odczy-

tał wyrok, skazujący Niemca na 13 miesięcy więzienia, ten nagle zerwał się z ławy oskarżonych, chwycił sto jący przed sędzią krucyfiks i rzucił nim w jego stronę. Sędzia uchylił się jednak machinalnie w bok, tak, że krucyfiks przeleciał obok jego głowy, wybił szybę i upadł na dziedziniec. Dozorcy więzienni pochwycili rzezimieszka, któremu jednak pospieszyły na pomoc znajdujące się na sali rozpraw dwie jego siostry. Wywiązała się bójka i dopiero policja przy użyciu broni zlikwidowała całe zajście, aresztując obie kobiety.

Katastrofa kolejowa pod Dęblinem. W ubiegłą środę o godzinie 4 min. 7 rano, na stacji Sobolew, należącej do warszawskiej dyrekcji kolejowej, odległej o 93 klm. od Warszawy, między Pilawą a Dęblinem, pociąg pospieszny towarowy nr. 96 przejechał sygnał wyjazdowy i zderzył się z osobowym pociągiem nr 924, idącym ze Lwowa do Warszawy. W pociągu osobowym rozbite są trzy wagony, a mianowicie brankard i dwa wagony III klasy. W pociągu towarowym rozbitych jest 8 wagonów, w tem trzy doszczętnie. Obydwa parowozy są również rozbite. Katastrofa pociągnęła niestety za sobą wielkie straty w ludziach. 18 osób jest rannych, w tem 15 ciężko. Odstawiono ich do szpitala w Dęblinie. Konduktor bagażowy pociągu towarowego oraz dwaj żołnierze zabici, 3 żołnierzy brak. Według ostatnio nadesłanych wiadomości, jest 5 osób zabitych. Na miejsce katastrofy wyjechał pociąg specjalny z władzami kolejowemi, poprzednio zaś pospieszyły tam dwa pogotowia. Pociągi kursują drogą okrężną, tor bowiem będzie uprzątnięty dopiero w ciągu 24 godzin. Nazwisk zabitych i rannych narazie jeszcze nie ustalono.

Kupił grunt na księżycu. Pewien zamożny chłopek z pod Warszawy, niejaki Flondra, przybył do stolicy na zakupy. Przypadkiem wplątał się w towarzystwo dwóch rozmownych panów, mówiących o ciężkiej doli ludu, o emigracji i t. d. Jeden z rozmówców, „inżynier“, opowiadał barwnie, ku zdumieniu kmiotka, o nowowynalezionych samolotach rakietowych, o nowoodkrytym księżycu, gdzie kryją się wielkie skarby złota, które będą stanowiły raj dla emigracji. Flondra dowiedział się ze zdziwieniem, że już nawiązano komunikację między ziemią a Marsem i że warszawskie Towarzystwo astronomiczne po zakupieniu gruntów na księżycu przeprowadza tam parcelację. „Inżynier“, który był już właścicielem rozległych posiadłości na księżycu tak otumanił biednego wieśniaka, iż ten usilnie prosił go o sprzedanie mu małego kawałka księżycowej ziemi. „Właściciel“ po długich targach sprzedał kawałek posiadłości na księżycu za 1.500 dolarów. Transakcję tę oblano w szynku. Podczas libacji Flondra usnął, a przyjaciele w międzyczasie pierzchli. Na policji, gdzie ciemny chłop zgłosił swoją szkodę, miano go z początku za warjata. Bo też trudno naprawdę uwierzyć, aby tak można było człowieka nabrać.

Nowa choroba zakaźna. W Toruniu objawia się od pewnego czasu nowa choroba zakaźna wśród dziatwy szkolnej. W pierwszym dniu występuje nagle gorączka, połączona z silnemi bolami w stawach, a jednocześnie następuje zapalenie spojówek ocznych, Po kilku dniach gorączka znika, lecz bóle w stawach trwają jeszcze przez pewien czas. Nową tę epidemję stwierdzono u wielu dzieci.

350-lecie uniwersytetu wileńskiego. Uniwersytet wileński obchodzi w ubiegłym tygodniu 350 rocznicę swego założenia przez Stefana Batorego. Jak wiadomo, uniwersytet ten rząd rosyjski skasował, a istnienie jego przywrócił przed 10 laty Marszałek Piłsudski.

Zawalenie się mostu. Na szosie Tallin - Parnawa runął most na rzece wraz z przejeżdżającym w tym momencie autobusem. Dzięki natychmiastowej pomocy pracujących w pobliżu włościan, nikt z jadących nie utonął. Trzy osoby odniosły ciężkie rany. Autobus został doszczętnie zniszczony.

Rozruchy antysowieckie. Chłopi rosyjscy stawiają coraz silniejszy opór przeciwko zarządzonej przez władze sowieckie rekwizycji zboża po cenie naznaczonej przez rząd, Władze wysyłają tak zwane „czerwone tabory“, które przy pomocy miejscowych komunistów rekwirują zboże. W niektórych okręgach opór chłopów urasta do rozmiarów jakiejś lokalnej wojny domowej. W okręgach nadwołżańskich i syberyjskich tworzą chłopi oddziały partyzanckie, które napadają na czerwone tabory. We wsi Gorcy okręgu nowogrodzkiego zamordowano organizatora gospodarstwa kolektywnego „Nowy Szlak“. Równocześnie we wsi Łaszyno okr. twerskiego podpalono gospodarstwo kolektywne komsomolców. Podpalający nie pozwalają na tłumienie ognia. Czterech z pośród nich aresztowano.

Król Indjan w Wiedniu. Do Wiednia przyjechał przed paru dniami król wszystkich Indjan, wielki naczelnik Biały Koń Orzeł. Naczelnik liczy obecnie 107 lat i przeżył już dużo rzeczy, dobrych i złych, dużo walk z białą rasą. Naczelnictwo objął w roku 1830. Od tego czasu zostało miljony czerwonych wytępionych przez białych zapomocą morderczej broni palnej. Biały Koń Orzeł poznał się już z różnemi wielkościami tego świata, jak z Cincinatem, prezydentami Stanów Zjednoczonych Rosseveltem, Wilsonem, Coolidgem i Hooverem. Przed kilkudziesięciu laty był on naczelnikiem plemienia Osaków, zaś obecnie jest królem wszystkich Indjan, których obliczają dzisiaj zaledwie na 60 do 70 tysięcy. Biały Koń Orzeł przybył do Europy poraz pierwszy w roku 1887, ażeby wziąć udział w uroczystościach jubileuszowych w Anglji na cześć ówczesnej królowej Wiktorji. Od tego czasu przybył do Europy więcej razy a odbył także i konferencję z Bismarckiem. We Wiedniu będzie miał kilka odczytów. W podróży towarzyszy mu żona pochodzenia białego, z którą ożenił się przed 36 laty. Pierwsza jego żona Indjanka obdarzyła go ośmiu córkami i dziesięcioma synami, z których najstarszy liczy obecnie 75 lat.

Panika w kinie. Z Oldenburga donoszą: Podczas szkolnego przedstawienia w kinie w Kipuvar, na które przybyło przeszło 300 dzieci szkolnych, wybuchł pożar. Powstała ogromna panika, która cudownym zbiegiem okoliczności nie pociągnęła ofiar w ludziach. Dwaj nauczyciele, którzy znajdowali się w sali, otworzyli momentalnie wyjścia tak, że dzieci z parteru wyszły wszystkie zdrowo z budynku. Gorzej było z dziećmi na galerji, które przerażone pożarem zeskakiwały z piętra na dół. Wiele z nich odniosło dość silne potłuczenia lub zwichnięcia rąk i nóg. Pożar, który wybuchł w operatorni, zdołano stłumić.

Przygody nieboszczyka. Wypadki letargu i nieoczekiwanego powrotu do życia są dość częste, ale tak awanturniczego „wskrzeszenia“, jakie odbyło się przed paru dniami w Paryżu, nie notowały dotąd kroniki. Pewien urzędnik bankowy, Roux, wybrał się którejś niedzieli na przejażdżkę łódką po Sekwanie. Odpłynąwszy dość daleko od brzegów miasteczka, zmęczony wioślarz chciał użyć kąpieli, rozebrał się więc i wskoczył do wody. Tu jednak stała się rzecz tragiczna: nastąpił nagły skurcz mięśnia sercowego i Roux poszedł na dno. Na szczęście wypadek zauważono i biedaka wyciągnięto z wody. Okazało się jednak, że wszystkie usiłowania przywrócenia go do życia były już spóźnione. Roux nie żył. Przewieziono go niezwłocznie do szpitala, gdzie dokonano szeregu zabiegów, w tej liczbie i wycięcie ka-

walka mięsa z najczulszego miejsca. Wszystko przemawiało za tem, że Roux nie żyje, przewieziono go więc do prosektorjum. Służący zgodnie z przepisami przystąpił do mycia trupa, gdy naraz nieboszczyk usiadł na stole, przerażony niepomiernie sytuacją, w której się znalazł, zażądał swego ubrania i wypuszczenia z tak nieprzyjemnego lokalu. Służący, który już był ochłonął z pierwszego wrażenia, zaoponował, twierdząc, że „nie wolno mu wypuszczać nieboszczyków bez pozwolenia". Powstała awantura. Roux chwycił jakiś leżący obok płaszcz szpitalny i wybiegł na ulicę, gdzie go aresztowano za spowodowanie zbiegowiska. Zanim zdążył „wskrzeszony" nieboszczzk wytłumaczyć, co się z nim stało, nadbiegł służący z prosektorjum, oskarżając „nieboszczyka" o przywłaszczenie szpitalnego płaszcza. W komisarjacie dość długo biedzono się nad prawnem rozwikłaniem całej historji, a zrozpaczona rodzina z niemałą radością odwiozła z aresztu tak niezwykłego nieboszczyka.

Straszny czyn warjatek. Z Pragi, stolicy Czech, donoszą: W zakładzie dla umysłowo chorych w pobliżu Pragi rozegrała się wstrząsająca tragedja. W oddziale dla kobiet została bestjalsko zamordowana przez chorą umysłowo, przebywającą tam na kuracji Antonina Wakułowa. Obłąkane kobiety rzuciły się na Wakułową, oślepiły ją, wybijając oboje oczu, a następnie wyrwały jej lewą rękę. Wakułowa skonała w strasznych męczarniach.

Straszna katastrofa. W garbarni w miejscowości Lütticke w Westfalji zdarzyła się katastrofa, w której padło 5-ciu robotników. Jeden z robotników wpadł do rezerwoaru, napełnionego kwasem chlorowym. Siedmiu z jego towarzyszy, którzy pospieszyli mu z pomocą, spotkał podobny los. Tylko trzech z nich udało się uratować. Ciała ofiar wykazują straszne poparzenia.

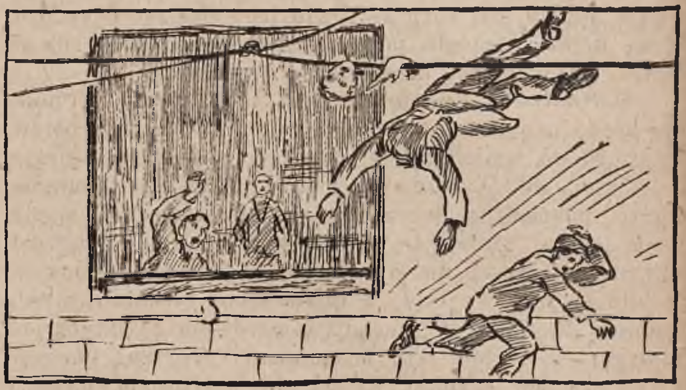
Podatek starokawalerski we Francji. W Francji płacą kawalerowie i panny w wieku ponad lat 30, dodatek podatkowy w 25-ciu procentach zwykłych podatków, jakie winni są uiścić skarbowi państwa. Tylko ci z nich, którzy ze swoich dochodów utrzymują nieślubne swe dziecko (lub dzieci) zwolnieni są od tego podatku. Otóż, jak wykazują dane statystyczne, zwiększa się w Paryżu z roku na rok liczba płatników podatku „starokawalerskiego". Widocznie wolą ludzie płacić podatek, niż zakładać rodzinę.

Pielgrzymka polska u Ojca św. Papież przyjął na posłuchaniu pielgrzymkę polską złożoną z 500 osób w tem 100 księży. Na powitanie i pożegnanie papież powiedział po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Podczas przyjęcia papież wygłosił dłuższe przemówienie.

Bomba na kolei. Z Carybrodu donoszą, iż na linji kolejowej nastąpiła eksplozja między stacjami Carybrodem a Pirotem, w chwili, gdy przejeżdżał tam pociąg osobowy. Przypuszczają, iż bombę podłożyli wywrotowcy bułgarscy.

Międzynarodowy język złodziejski. Przy złodzieju Albercie Pinto, aresztowanym przez policję brazylijską w grudniu roku ubiegłego, znaleziono obszerne zapiski w języku dotychczas nieznanym. Dopiero przed kilkoma dniami udało się stwierdzić, że idzie tu o słownik międzynarodowej, nieznanej mowy złodziejskiej. Słownik ten jest obecnie tłumaczony na język francuski. Policja brazylijska dowiedziała się ponadto, że przed jakimś czasem odbył się w Lerida (Hiszpanja) międzynarodowy kongres zbrodniarzy w sprawie utworzenia centralnej organizacji złodziejskiej. Jednym z głównych punktów narad było stworzenie nowego, międzynarodowego języka złodziejskiego. Trzem delegatom powierzono wypracowanie kodeksu tajnego. Policja brazylijska uwiadomiła wszystkie dyrekcje policji całego świata o tem odkryciu.

Straszne samobójstwo. W niezwykły sposób odebrał sobie życie kupiec Salvator Lopez, jeden ze znanych przedsiębiorców w Madrycie, w Hiszpanji. Do czynu tego spowodowały go nieudane spekulacje.



Wszedł więc na najwyższą wieżę katedry madryckiej i stamtąd rzucił się w dół, gdzie padł na druty tramwaju, które mu odcięły głowę, a ta ku niemałemu zdumieniu i przerażeniu gości potoczyła się do pokoju pobliskiej kawiarni.

Uroczystości ku czci Kazimierza Pułaskiego. W 150 rocznicę śmierci bohaterskiego konfederata, Kazimierza Pułaskiego, który pospieszył przed stupięćdziesięciu laty za morze, aby walczyć za wolność Ameryki i tam zginął pod Savannah, odbyły się w Ameryce piękne uroczystości, w których wzięli udział nietylko Polacy amerykańscy, ale i tłumne rzesze rodowitych Amerykan. Podobne uroczystości odbyły się również w całej Polsce w dniu 11 b. m.

Olbrzymi bunt więźniów. Z Nowego Jorku donoszą o wielkim buncie więźniów, który wybuchł w Canon City w stanie Colorado. W więzieniu tem znajduje się około 1000 skazanych. Więźniom udało się wtargnąć do zbrojowni i posiąść broń. W czasie walk trzech strażników więziennych zostało zabitych. Wielu zaś jest ciężko rannych. W celu stłumienia rozruchów więziennych wysłano do Canon City oddział artylerji. Do miejscowości tej ściągnięto również oddziały policji z całego stanu Colorado. Donoszą nawet, iż z Denver wysłana została eskadra samolotów zaopatrzona w bomby łzawiące i karabiny maszynowe. Wojska rządowe rozpoczęły regularne oblężenie więzienia. Artylerja ostrzeliwała budynki. Część więzienia stanęła w płomieniach. Wówczas więzniowie wysłali ultimatum do dowództwa wojsk, żądając trzech automobili ciężarowych, na których mogliby spokojnie odjechać przez nikogo nie zatrzymywani. Ultimatum zostało odrzucone. Kilkakrotne usiłowania wojsk oblężniczych zdobycia barykad zostały odparte. Więźniowie wyciągnęli na wysokie mury czterech dozorców i na oczach wojska oblęgającego więzienie, zrzucili ich z wielkiej wysokości na dół. Dozorcy ponieśli śmierć. Ostatecznie bunt jednak został stłumiony. Więźniowie wywiesili białą flagę; przed poddaniem się przywódca buntu na własną prośbę zastrzelił kilku więźniów. Liczba zabitych i rannych jest znaczna.

Książę pruski robotnikiem. W zakładach Forda w Buenos Aires pracuje mechanik Fryderyk Hohenzollern, książę pruski, swego czasu pretendent do tronu niemieckiego, a obecnie pretendent do majątku książęcego. Książę otrzymuje za swą pracę 2 dolary 97 centów dziennie.

RZECZY CIEKAWE.

Czy są jeszcze szczęśliwe małżeństwa.

Lekarz paryski i kierownik jednego z psychologicznych instytutów, dr. Jabot postawił sobie za zadanie rozwązanie zagadnienia, czy są jeszcze w Paryżu prawdziwie szczęśliwe stadła małżeńskie.

Przedewszystkiem więc badacz ten zebrał starannie wszystkie dane z kronik policyjnych zajmujące się najrozmaitszemi nieporozumieniami małżeńskiemi, począwszy od zwykłej sprzeczki z rękoczynami, a kończąc na poważnych kryminałem grożących wypadkach.

Przestudjował on nadto akty spraw rozwodowych za ostatnie dwa lata, a następnie zajął się osobistą obserwacją, czyniąc ją na wzór Harun al Raszida w rozmaitych przebraniach, które umożliwiały mu studja u źródła.

Przebierał się więc za gazownika, reparatora telefonów i w ten sposób godzinami całemi przebywając w obcem domowem ognisku, zbierał potrzebne mu dane.

Po tych 2 latach trwających laboratoryjnych studjach dr. Jabot wydał, jako ich owoc książkę, w której poddał analizie 45.000 małżeństw ze wszystkich sfer społecznych, począwszy od pałaców, a kończąc na „cygańskich namiotach". Studjom tym nie uszły nawet małżeństwa wśród żydów, ani stadła pomiędzy obcokrajowcami, przybyłymi do Paryża ze wszystkich krańców świata.

Najbardziej interesującą częścią tej ciekawej książki jest jej najbardziej istotna treść — statystyka. Świadczy ona zaiste o niezwykłej sumienności, z jaką dr. Jabot odniósł się do podjętego przez siebie tematu.

Z pomiędzy 45 tysięcy zbadanych przez niego małżeństw 4170 rozwiodło się na zupełnie legalnej drodze, a więc stanowi to około 10 proc. Cyfra ta nie przenosi zbytnio liczby rozwodów w innych wielkich miastach Europy.

O ile bardziej zatrważający jest fakt, że w tych 45 tysiącach małżeństw zanotowane jest 1130 wypadków, gdy kobieta, poniechawszy przyjętej formy legalnej, opuściła swe dawne ognisko i nie powróciła doń więcej. Analogicznych wypadków dotyczących mężczyzny jest jeszcze więcej, gdyż 2340. Te dwie cyfry i ich stosunek procentowy, jak sądzi prof. Jabot, są już swoiście paryskie.

W 13.400 wypadkach zdołał on stwierdzić bądź na zasadzie protokułów policyjnych, bądź na podstawie wiadomości zebranych od sąsiadów obserwowanych par małżeńskich, że pożycie ich przypomina raczej bezustanną wojnę zaczepno-odporną niż sakrament małżeński.

W 3.400 wypadkach autor tej ciekawej książki zdołał zaobserwować t. zw. pozorne szczęście, dalekie jednak od prawdziwego tego stanu. 127 małżeństw na 45 tys. zasługiwało na miano względnie szczęśliwych, a tylko 13 cieszyło się niczem niezmąconem szczęściem małżeńskiem.

Te 13 stadeł poddane zostały przezeń specjalnie starannej analizie, która ustaliła, że 9 z nich należało do drobnomieszczańskiej sfery, 2 do kół artystycznych. W jednym wypadku szło o nauczyciela ożenionego z nauczycielką.

Nic dziwnego, że psycholog, który tak do gruntu zbadał instytucję małżeńską, pozostał sam starym kawalerem.

„Ściana płaczu" w Jerozolimie.

Jest w Jerozolimie ciasna i brudna uliczka, w okolicy dawnej świątyni żydowskiej Salomona, nad którą wznosi się wysoki, potężny mur z ogromnych starych ciosów wzniesiony, który co piątek krwawi ludzkiemi, gorzkiemi łzami. Na niektórych ze złomów są napisy hebrajskie, złożone z wielkich czarnych liter. Uliczka ta jest bez wyjścia i przy zachodnim murze dawnej świątyni. Mur ma długości 50 metrów, wysokości 18 metrów. Ten to obumarły, zakątek zowie się „murem płaczu" i o niego toczą się obecnie krwawe walki między Żydami a Arabami, o czem już niejednokrotnie pisaliśmy. Dla Żydów stanowi ten mur najszacowniejszą pamiątkę, jako pozostałość, zdaniem uczonych, z dawnej świątyni Salomona, dla Arabów przedmiot sporu o posiadanie wielowiekowe Jerozolimy i Palestyny i nabyte przez osiedlenie prawa.

Co piątek zbierają się tu Żydzi ze wszystkich zakątków świata, najwięcej z tych, których prawdziwa tęsknota przygnała do starego miasta Dawidowego.

Rozlegają się jęki i westchnienia. Gdy się większy tłum zbierze, odmawiają psalm, w którym opłakują zburzenie świątyni pierwszej, Salomonowej i Jerozolimy przez Nabuchodonozora.

Mężczyźni i niewiasty, dzieci i starcy modlą się i płaczą. Jedni siadają skurczeni, inni stoją, przyciskają rozpalone czoła do muru i całują go, inni wyciągają pożółkłe księgi, kiwają się i modlą.

Rozpoczyna się właściwe nabożeństwo. Przewodniczący rozpoczyna głosem smutnym i przytłumionym wiersz:

„Z powodu pałacu, który spustoszony jest. Z powodu świątyni, która jest zburzona. Z powodu murów, które są obalone. Z powodu naszej świetności, która minęła. Z powodu naszych wielkich ludzi, którzy zginęli.

Na każdy wiersz lud odpowiada:

„Siedzimy tu samotnie i płaczemy".

Wkońcu wszyscy dodają:

„Prosimy Cię, zlituj się nad Syjonem, zbierz na nowo w jedno rozproszone dzieci Jerozalemu".

Rozlega się płacz i szlochanie.

Płacz ten, jest to pieśń pogrzebowa starego zakonu, śpiewana przez resztki tego ludu, który tu niegdyś był panem, a któremu teraz nie wolno nawet wstąpić na plac świątyni, który, jak niewolnik żyje w najnędzniejszym zakątku swej stolicy i za pieniądze musi sobie kupować prawo, aby u stóp tego muru móc płakać. Jest to pieśń żałobna, śpiewana na grobie tego ludu, wobec trupa jego świątyni".

Herbata.

Herbata pochodzi, jak wiadomo, z Chin; wytwarza ją się z odpowiednio przygotowanych i wysuszonych liści krzewu herbacianego. Chińczycy zwą ją „cza" lub „ta", stąd rosyjska nazwa herbaty „czaj", francuska „the", niemiecka „The". Polska nazwa powstała z łacińskiej „herba (tj. ziele Thea)".

Chińczycy znali herbatę już w V. wieku po Chrystusie. Do Europy trafiła dopiero około roku 1650 i to prawie równocześnie do Anglji i Holandji morzem, a do Rosji lądem.

Nie odrazu nauczono się przyrządzać ten zamorski trunek. Kiedy do Anglji przywieziono te zamorskie zioła, nie wiedziano, co z niemi począć; ugotowano je więc w posolonej wodzie, jak kapustę, odwar wylano, a rozgotowane liście podano na stół... z wędzonką!!

I dzisiaj przygotowują herbatę w różny sposób. Przedewszystkiem istnieją dwa zupełnie różne gatunki herbaty: czarna i zielona. Oba pochodzą z tych samych liści. Czarną otrzymuje się sposobem fermentacyjnym: świeże liście pozostawia się na kilka godzin do zwiędnięcia, następnie zagniata się i wałkuje rękami, nogami lub zapomocą maszyn, dopóki nie wypuszczą soków. Potem pogniecione liście wkłada się do koszów lub skrzyń i okryte pozostawia się przez kilka godzin, aby uległy samozagrzaniu. Zielona barwa liści przechodzi wówczas w miedzianoczerwoną, zanika „trawiasty" zapach, a wytwarza się specyficzny aromat. Po sfermentowaniu liście rozsypuje się cienką warstwą i suszy; nabierają one przez to barwy czarnej.

Herbatę „zieloną" wytwarza się w ten sposób, że świeżo zerwane liście poddaje się gnieceniu na gorących patelniach, aby przez wysoką temperaturę zabić wszystkie fermenty. Tak przegrzane liście prędko się suszy, przyczem zachowują one swą zielonawą barwę i trochę cierpki smak.

Herbata rozpowszechniona jest zwłaszcza w Azji, używają tam jednak przeważnie herbaty zielonej. Dobroć różnych gatunków herbaty zależna jest od zbioru: wcześniejszy zbiór daje gatunek lepszy, późniejszy — gorszy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Stefan Jaworski** w P.: Owszem zagadki wszystkie bardzo dobre i oryginalne. Prosimy o dalsze. — **Opian** w W.: Nadesłany nam wierszyk zupełnie dobry, bardziej jednak pożądaną dla nas jest proza. O ileby Pan zechciał nadsyłać nam swe utwory, to bardzo prosimy. Zgóry jednak zaznaczamy, że „Rola" żadnego honorarjum płacić nie może. — **Antoś z nad Zielawy:** Zdarzenie, jako takie, dobrze napisane, ale w formie tej nie może być drukowane. Trzeba było zrobić z tego powiastkę, zmieniając nazwę miejscowości i osób, a rzecz mogłaby być wcale dobra. — **Maryla Forysiówna** w Ch.: Nadesłana nam próbka nie nadaje się do druku. Spieniężyć (co za proza) poezje w dzisiejszych czasach ogromnie trudno; nawet bardzo dobrzy poeci „kupca" na swe utwory znaleźć nie mogą. — **„Be-ge":** Tak wierszyk, jak i zagadki zamieścimy. — **Wanda Charzewska** w G. J.: Odpowiedzieliśmy listownie. — **Jan Stepień w L.:** O ileby nas ktoś zawiadomił, że ma pszczoły i po jakiej cenie za pień na sprzedaż, natychmiast Panu doniesiemy listownie. — **„Maryśka"** z K.: Za pozdrowienia i zaproszenie dziękuję. W tym roku uwiązany byłem przy „Roli" i nigdzie na wypoczynek jechać się nie dało. Przepadły numer posłany powtórnie. Pod względem pracy widocznie nie mamy sobie nic do zazdroszczenia. Załączamy serdeczne pozdrowienia. — **Kaz. Mayko** i **M. Aksamit** w J. V.: 200 lei otrzymaliśmy. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Szarady dobre. Miło nam będzie powitać w Krakowie. P. Z. M. numer już dawno wysłany. — **Bronisław Słomka** w J.: Ostatnio nadesłaną nowelkę zamieścimy. — **Władysław Krysa** w S.: Nadesłany nam wierszyk nie nadaje się do druku. Brak w nim rymu i rytmu. Bajki i nowele zamieszczamy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

■ ☆ ☆ ☆ ■ Inaczej wojska.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Część wnętrzności.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Wyznawca proroka.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Zboże.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Inaczej murzyn,
■ ☆ ☆ ☆ ■ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Rzeka morza Czarnego.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Starożytne miasto.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Karta wstępu.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Mieszkańcy Azji.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Mędrzec grecki
■ ☆ ☆ ☆ ■ Częś cyrku.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Służy do jazdy.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Wchód wspak.

Pierwszy rząd czytany z góry na dół da nam znane imię i nazwisko, drugi rząd z dołu do góry, jego powieść.

2. Zadanie »Sen«.

(Ułożył Stefan Jaworski z P.).

Pewien młodzieniec potrzebował kwotę 400 zł., której nie posiadał. W nocy miał sen. Śniło mu się, że przyszedł do niego dziad i mówi: jeżeli mi dasz 8 zł. z tej sumy jaką posiadasz, to pozostała ci kwota powiększy się podwójnie. Młodzieniec dał dziadowi 8 zł. i rzeczywiście pozostała suma podwoiła mu się. Dał więc jeszcze raz dziadowi 8 zł i znów pozostała suma zdwoiła mu się. Powtórzył to jeszcze parę razy, dopóki nie miał całej sumy t. j. okrągłe 400 zł. Pytania: Ile młodzieniec miał złotych przed snem? i ile złotych dał dziadowi?

3. Zagadki.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Wprost to bożek był miłości,
Ws ak — miasto w starożytności.

II.

Mieszkania owadów zamknij wsamogłoskę,
A otrzymasz opad — pomyśl tylko troszkę.

III.

Gdy za włoską rzeką chiński bożek stanie,
To wyniknie przyrząd na drzwi zamykanie.

4. Zagadki geograficzne.

(Ułożył Piotr Kowalski z D.).

I.

Która rzeka wódz słowiański?

II.

Które miasto strojem głowy?

III.

Które państwo ubiór pański?

IV.

Która rzeka ptak domowy?

5. Zagadki humorystyczne.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Jakie lisy są w każdym teatrze?

II.

Jaki gość potrzebny jest przy pomiarze?

III

Jaką liną wypędza się mole?

IV.

Jakie górki zmieniają swoją wielkość?

V

Jaka kora zdobi człowieka?

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 26 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 40 „Roli": 1. Logogryf: Stefan Czarniecki. 2. Zagadka: Świeca. 3. Szarada: Papierosy. 4. Kalambury: Franklin, Kossak. 5. Kryptogram: „Oj nie ta jest ciężka chwila, kiedy sypią ci mogiłę, ale ta jest ciężka chwila, kiedy rzucasz, co ci miłe". 6. Figielek: Turkot.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Stefan Jaworski z P., Jan Wyrobek z J., J. Wojnar z M. G., Piotr Leśniak z M., Władysław Badura z P., Józef Kopacz z S., Józef Garczek z C., Józef Markus z K., Henryk Bilka-Głębicki z S., Edmund Markus z K., Aleksander Krutikow z K., Jan Gara z W., Władysław Sołtys z N. S., Eugenjusz Kotfis z D., Marja Woźniakiewicz z G., Mieczysław Szczurowski z D., Franciszek Macioł z S. B., Franciszek Biedroń z S. B., Jakób Jeziorański z K., Franciszek Niedbała z T.

Nagrody wylosowali pp.: Aleksander Krutikow z K. i Marja Woźniakiewicz z G.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nie głupi Wojtek.

— Słuchajta, chłopcy! — rzekł do swej czeladzi dziedzic Kociej-Łapki — pokłóciłem się wczoraj z moim sąsiadem, dziedzicem Psiej-Główki. Postanowiliśmy kłótnię naszą załatwić w ten sposób, że czeladź moja rozprawi się z czeladzią dziedzica z Główy, a my w oczekiwaniu rozprawy, będziemy się przyglądali z boku.

— Rozumiem, proszę wielmożnego dziedzica — odrzekł na to Wojtek Kociuba — ale możeby to lepiej było, żeby wielmożny nasz dziedzic, rozprawił się sam z dziedzicem Psiej-Główki, a mybyśwa się temu przyglądali z boku.



Nic nowego.

— Słyszeliście, Macieju, w Paryżu pewien lekarz odmładza, zapomocą wstrzykiwania krwi, ze świnki morskiej.

— Proszę dziedzica, la nos to nie nowina, my jak ino zabijewa wieprzka, zawdy se wstrzykujemy miskę cerniny i to z kluskami.

Nie złe pojęcie.

Chłop, który pierwszy raz prowadzi dopiero proces, mówi do swego adwokata:

— Bo to uważa pan, ja jestem rzetelny i poczciwy człowiek... ja w mojem życiu nigdy jeszcze adwokata nie potrzebowałem.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 11 paździer. b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·20 do 1·65 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·67 zł.
Woły	od 1·10 do 1·70 zł.	Cielęta	od 1·78 do 3·00 zł.
Krowy	od 0·94 do 1·60 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·45 do 2·79 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·00 do 3.5

Giełda płodów rolniczych
z dnia 11 paździer. b. r.

Pszenica	39·50—40·50	Słoma długa	8·00—9·00
Żyto	25·00—26·00	Ziemniaki stoł.	6·00—6·50
Owies	23·00—24·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	23·00—24·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Fasola biała	100·00—110·00	Mąka żytnia	40·00—00·00
Groch zwyk.	44·00—48·00	Mąka pszen.	70·00—71·00
Siano słodk.	10·50—11·50	Otręby pszen.	15·50—16·50
Łubin żółty	28·00—29·00	Otręby żytnie	16·50—17·00